NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop., z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor.—16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. | Kraków, 2 czerwca 1906 r. | Nr. 22.

Niesłychanie śmiały napad na bank.

(Treść na stronie 2).



Niesłychanie śmiały napad na bank.

(Do illustracyi tytułowej).

Po Warszawie w ubiegły piątek w godzinach południowych echem błyskawicy rozeszła się wiadomość o dokonaniu nawet w obecnych warunkach napaści niezwykle śmiałej. Oto jej szczegóły:

Przedewszystkiem dla łatwiejszego oryentowania się przypatrzmy się rozkładowi pomieszczeń



Jubileusz królewski: Najpopularniejsza w Europie królowa-poetka Carmen Sylwa, małżonka króla Karola rumuńskiego, obchodzącego 40-tą rocznicę wstąpienia na tron.

w Kasie Przemysłowców przy ul. Zgoda na rogu Złotej. Oto przez wspaniałe schody marmurowe wchodzi się na pierwsze piętro do wielkiej sali, naokoło której stoją tam po prawej stronie od wejścia biurka pracowników, po lewej zaś stronie w końcu sali kasa. Około godz. kwadrans po dwunastej gdy skutkiem dnia poświątecznego w sali na pierwszem piętrze panował niezwykły ścisk, do sali wbiegło [illegible] ludzi z rewolwerami, którzy w jednej chwili owładnęli całym lokalem, poczem zająwszy stanowiska w pobliżu okienek, unieruchomiali urzędników lufami rewolwerów. Dwóch skierowało się do kasy. W jednej chwili zapanowała na sali grobowa cisza, przerywana jedynie rozkazami wydawanemi przez bandytów. Przerażona publiczność mimo zapewnienia bandytów, że nic jej się nie stanie, jeśli się nie ruszy, poczęła usuwać się do drzwi, tak, że wejście jedyne zatarasowano. W tej chwili z przyległego pokoju wybiegł naczelnik biura, p. Ludwik Święcicki, który widząc straszne położenie urzędników, oraz już przedostających się do kasy bandytów, strzelił w ich kierunku. Strzał ten był decydujący. Złoczyńcy, spostrzegłszy, że tym razem napad im się nie uda, postanowili przynajmniej ratować swe życie. Wszyscy w jednej chwili opuścili swe placówki i skierowali się w popłochu ku drzwiom. Tam jednak, jak to zaznaczyliśmy, koncentrowała się publiczność. Dla tego też chcąc się przez publiczność przebić, bandyci poczęli prażyć ją strzałami rewolwerowemi; strzały te od czasu do czasu zwracali również ku urzędnikom, którzy tymczasem ochłonąwszy z przestrachu, poczęli korzystać ze swej broni. Wtedy właśnie zraniony został pan Święcicki oraz urzędnik kasy, K. Jeżewski. Po trupach i rannych bandyci przedostali się do klatki schodowej. Tam jednak dosięgnęła jednego z nich kula rewolwerowa. Bandyta zachwiał się, lecz towarzysze uprowadzili go. Wszyscy wsiedli w trzy dorożki i zniknęli w kierunku ul. Brackiej. Tak przedstawia się fakt napaści. Skutki jej były straszne.

Na miejscu trupem padł ugodzony kulą w głowę Stanisław Jeżewski, inkasent firmy Majewskiego. Kula browninga, przebiwszy kość czołową, przeszła przez zwoje mózgowe i wyszła z drugiej strony czaszki. Śmierć nastąpiła momentalnie. Kula spowodowała częściowe wylanie się mózgu na zewnątrz. W pobliżu zabitego, t. j. tuż obok drzwi wchodowych, również ugodzony w głowę, leżał z oznakami agonii, kąpiąc się w kałuży krwi, kupiec Szaja Bukszpan. Przewieziony do szpitala św. Rocha, Bukszpan wkrótce zmarł, nie odzyskawszy przytomności. Strzały bandytów, skierowane ku urzędnikom, zraniły przedewszystkiem bohaterskiego naczelnika p. Ludwika Święcickiego w pachwinę oraz p. Kazimierza Jeżewskiego. Dwie kule przebiły mu piersi, jedna z nich nadwyrężyła worek sercowy, tak, że w stanie agonii odwieziono go do pobliskiej lecznicy przy ul. Boduena. Tam w kilka godzin później Kazimierz Jeżewski zmarł. Stan zdrowia Święcickiego jest bardzo groźny; oprócz silnego krwotoku, spowodowanego raną, zachodzi obawa komplikacyi skutkiem rany w pachwinie. Oprócz powyższych ciężko rannych, ofiarami niezwykle śmiałej napaści zostali: Adam Tabełkiewicz, urzędnik kasy, dwukrotnie ranny w rękę; odwieziony został przez pogotowie do szpitala św. Rocha. P. Aleksander Melior, kasyer z fabryki Machczyńskiego, ugodzony kulą w bok, przewieziony został do szpitala św. Ducha. Stan jego zdrowia jest bardzo groźny, tak że istnieje mało prawdopodobieństwa utrzymania go przy życiu. Najlżej stosunkowo ranieni zostali pp. Jan Górski (rana prawej ręki), Semadeni, urzędnik V. Tow. wzajemnego kredytu (rana w szyję) i p. [illegible] majster mularski. Tak więc do tej pory skutkiem napaści zginęli p. Stanisław Jeżewski (inkasent), Kazimierz Jeżewski, urzędnik kasy i Szaja Bukszpan. Pp. Święcicki i Meljor walczą ze śmiercią.



Jubileusz królewski: Przyjaciel Polaków na tronie, król Karol rumuński, obchodzący obecnie czterdziestoletni jubileusz panowania i pracy nad odrodzeniem Rumunii.

Ranny bandyta przewieziony został przez towarzyszy do szpitala Dzieciątka Jezus, gdzie zostawiwszy go w przedpokoju, zbiegli. Ranny, jak się okazało, kowal, mieszkający przy ul. Koszykowej nr. 9, Gustaw Dąbrowski, otrzymał 2 rany w piersi, ciężkie.

Według zeznań świadków, bandytów było 8, z których 5 miało być chrześcijan, 3 żydów. Rannego Dąbrowskiego do szpitala przywiozło dwóch, lecz nim się konsystująca w szpitalu policya zoryentowała, bandyci ci zbiegli.



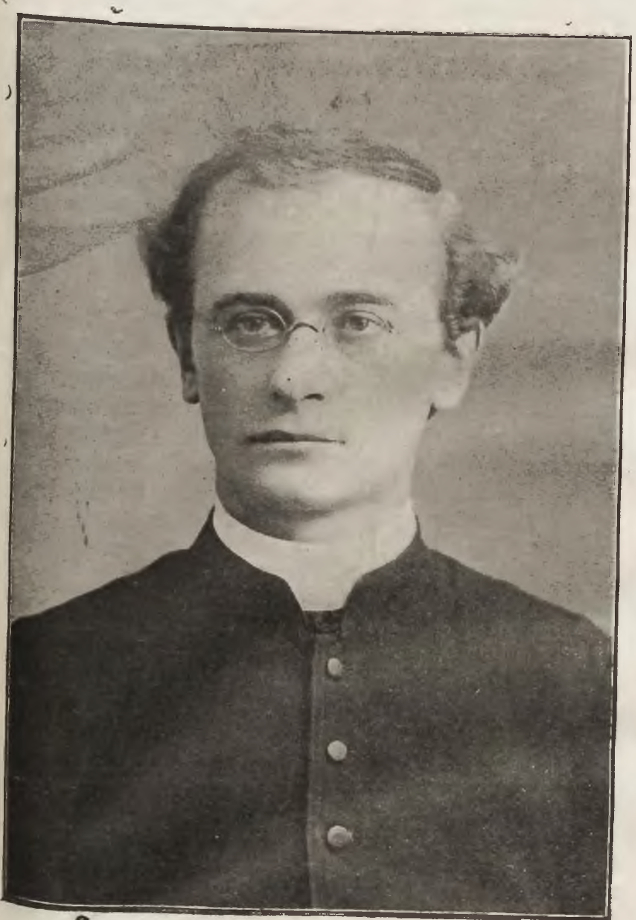
Fot. dla „Nowości Illustrowanych“ Bisetti w Kaliszu.

Wizyta pasterska w Kaliszu: Biskup dyecezyi kujawsko-kaliskiej, JE. ks. Zdzitowiecki, w gronie duchowieństwa kaliskiego, w czasie swej ostatniej wizyty pasterskiej w Kaliszu. (Do artykułu na stronie 13).

Jubileusz królewski.

Przez długie wieki była Rumunia igraszką w ręku są-

siadów swoich i najgorzej w całym świecie zorganizowanem państwem. Po wiekach jednak tego rodzaju stosunków, zaświtało i w Rumunii. W roku 1866, po usunięciu z tronu księcia Kuzy, plebiscyt powołał na opróżniony rumuński tron książęcy oficera pruskiego, księcia Karola-Hohenzollern-Sigmaringen z katolickiej linii Hohenzollernów.



Opóźnione wybory w gubernii warszawskiej: Kapłan-patryota ks. Jan Gralewski, najwybitniejszy z wybranych 11 bm. posłów do Dumy z gubernii warszawskiej.

To, co młody oficer pruski zastał w kraju, którym miał rządzić, było wprost rozpaczliwe. Drogi były wówczas w Rumunii nieznane prawie, podobnie jak i bruki po miastach; o kolejach nie miano tu nawet pojęcia, mostów kilka zaledwie było w całem państwie, poczta znajdowała się w rękach prywatnych, jednem słowem, kraj ten, z natury bogaty i żyzny, znajdował się na najniższym stopniu wschodniej kultury. Rodziny bojarskie nie uznawały żadnej nad sobą władzy, pojęcie państwowości było tu obcem, a temsamem nie znano żadnych wobec państwa obowiązków. Jednem słowem, na całej linii, w całym kraju, panował skrajny bezrząd.

Od dnia wstąpienia na tron księcia Karola, minęło lat 40 i dziś widzi Europa owoce 40-letniej jego pracy. Pod niestrudzonem jego kierownictwem, podniósł się naród rumuński z tysiącletniego poniżenia i ramię w ramię stanął w jednym szeregu obok reszty narodów środkowej Europy. Król Karol uporządkował finanse kraju, stworzył armię, pokrył kraj gmachami publicznymi, pobudował porty i koleje, założył tysiące szkół, dwa uniwersytety i akademię umiejętności, a tem samem stworzył wprost z niczego całą dzisiejszą rumuńską kulturę, z którą żadna z kultur bałkańskich narodów ani w przybliżeniu równać się nie może.

Dlatego też cała Rumunia z dumą i wdzięcznością patrzy dziś, w dniu jubileuszu na swojego władcę. U boku zaś poczciwego i pracowitego króla, stoi najpopularniejsza dziś w Europie królowa-poetka, Carmen Sylwa, która również w pracy nad kulturnem odrodzeniem Rumunii wzięła udział.

Również i w polityce miał król Karol szczęśliwą rękę. Podczas ostatniej rosyjsko-tureckiej wojny, pociągnął na czele swej armii w pole i przyczyniwszy się głównie do zdobycia Plewny, zamienił książęcy kołpak na królewską koronę. Po wojnie, kiedy księstwa naddunajskie opanowane zostały przez rosyjskie wpływy, zdołał uwolnić od nich Rumunię, dzięki czemu kraj jego ominęły przewroty, jakie po dziś dzień jeszcze Bułgaryą i Serbią wstrząsają.

Dla Polaków był król Karol zawsze jak najprzychylniej usposobiony, tysiące też ich, szczególnie w latach sześćdziesiątych i siedmdziesiątych, znalazło w Rumunii chleb i przytułek, a i dziś jeszcze, na wysokich nawet stanowiskach, spotkać tam można często Polaka. I mimowoli przychodzi na myśl wobec tego przysłowie, że „z jednego drzewa krzyż i łopata“ i porównanie między Hohenzollernem berlińskim, który Polaków z własnej ich wypędza ojczyzny.

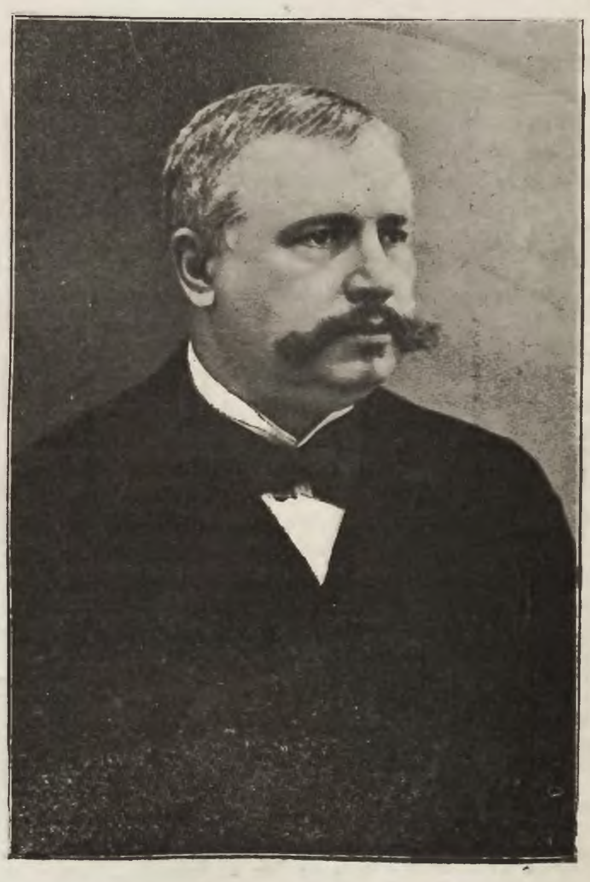
Redaktor po opałach.

Widząc w lokalu redakcyi „Gazety Kaliskiej“ jej wiecznie czynnego, wiecznie życzliwie witającego cię wydawcę i redaktora mec. p. Józefa Radwana, anibyś się domyślił tych opałów, jakie tak niedawno jeszcze przebywał on sam i jego pismo.

Z chwilą rozpoczęcia się reakcyi, kiedy ponownie zażądano od niego poddania się cenzurze prewencyjnej, wolał wreszcie czasowo zawiesić wydawnictwo, naraziwszy się przedtem na cały szereg wytoczonych mu spraw o przestępstwa prasowe.

Spadła wreszcie na niego i rewizya, a znaleziony w mieszkaniu rewolwer stał się powodem skazania go na karę stu rubli lub dwutygodniowego więzienia.

Po namyśle wybrał drugie i przesiedział się w więzieniu, którego gmach, znany naszym Czytelnikom z podanej tu niedawno illustracyi, wygląda na jakiś dawny zamek. Tymczasem jest to specyalnie więzienny gmach wystawiony jeszcze za cesarza Mikołaja I i to z systemem amerykańskim tego rodzaju, iż dla strzeżenia wszystkich drzwi więziennych każdego piętra wystarcza jeden sołdat, stojący w środku wewnętrznego krzyża belkowanego, zaś na dole w dziedzińcu. Więzienie to pamiętne jeszcze i z r. 1863 a uczczone i teraz niedawno zamknięciem tam dzisiejszego



Redaktor po opałach: Józef Radwan, redaktor i wydawca „Gazety Kaliskiej“, który niedawno odsiedział karę prasową w więzieniu w Kaliszu.

posła do Dumy, mec. Parczewskiego, a ostatnio i red. Radwana.

Złe minęło. Dzielny redaktor otrząsł się ze wszystkiego i odświeżył w tej dobie ucisku tak, iż obok swojej „Gazety Kaliskiej“ zaczął wydawać nowe pismo tygodniowe dla ludu „Jutrzenkę“. *Bejot.*



Fot. dla „Nowości Illustr.“ I. Bisetti w Kaliszu.

Otwarcie przystani wioślarskiej w Kaliszu: Grupa członków Tow. wioślarskiego w Kaliszu, łączącego w sobie „Koło gimnastyczne“ i „Lirę wioślarską“; w środku, mając u stóp sztandar z herbem Kalisza, siedzi prezes Tow. mecenas J. Radwan, redaktor „Gazety Kaliskiej“, obok niego prezes Stow. Cyklistów, Arnold; naczelnik Gałecki i b. wiceprezez wioślarzy Dziedzicki — zebrani na uroczystość otwarcia przystani. (Do art. na stronie 14).

OFIARY WAMPIRÓW.

Romans z życia przez Gr-ego.

10 Ciąg dalszy.

Zaczynało to wreszcie barona niecierpliwić. Kiedy się więc rozgościł już na dobre, pyta Rożniewskiego.

— Kiedyż nakoniec będę miał zaszczyt złożyć swoje uszanowanie narzeczonej?... Zechcesz mi, kochany hrabio, dać znać, o jakiej porze może mnie przyjąć pańska córka.

— Wanda nie czuje się dość dobrze — wycedził przez zęby gospodarz — żeby można widzieć się z nią dzisiaj... Nie wiem zresztą czy jutro będzie już dość silną na przyjęcie pańskiej wizyty... Córka sama mi powie, kiedy będę mógł pana poprosić do niej.

Baron udawał wobec przyszłego teścia, iż jest tem bardzo zmartwiony, kazał oświadczyć od siebie współczucie gorące z powodu niedyspozycyi hrabianki... Ale w głębi duszy niezmiernie był z tego zadowolony, iż nie będzie musiał się zaraz z nią zobaczyć, ponieważ hrabianka poprzednim razem tak mu zaimponowała, że Goldenthal poprostu obawiał się spotkania z nią, czując się w obecności tej kobiety w skórze zakłopotanego ucznia wobec rozgniewanego profesora. Wolałby był tedy jak najdłużej podziwiać wdzięki pięknej Wandy na barwnym portrecie, a choćby tylko na fotografii, byle nie być zmuszonym rychło stanąć przed nią osobiście.

A poza tem pobyt jego w Rożniewie miał jeszcze cel inny, dla jakiego głównie tu przybył; żeby zaś cel ten osiągnąć w zupełności, potrzebował baron kilku dni czasu przedewszystkiem dla zoryentowania się.

To też po kilku krokach przedwstępnych, jakie zręcznie poczynił dyskretnie w pierwszych chwilach, udał się baron Goldenthal nazajutrz po przyjeździe na przechadzkę w towarzystwie Ludwika Remana do starej kaplicy zamkowej.

Znajdowała się ona na wysokim, malowniczym wzgórku nad wstęgą wartkiej rzeczki, a na krańcu dworskiego parku. Ze wzgórza roztaczał się widok wspaniały, rozległy, na wioski Łotyszów, na małe a zamożne osady starowierów, na łąki i pola od północy zamknięte czarną ławą przepastnych lasów inflanckich, a z trzech innych stron szaremi smugami widnokręgu, w jakie zlewały się w dali dla oka tafle gładkie kilku sporych jezior.

Na górę szło się dość szeroką, krętą ślimakowato ścieżką, obwiedzioną z boku bez przerwy ławą kamienną omszałą, wzdłuż której biegł żywopłot krzewów ciernistych.

Na gładko ściętym wierzchołku pagórka, pod strażą czterech niby kolumn — niebotycznych topoli, stała staroświecka, od wieku nieodnawiana kaplica z nieodrapanym tynkiem, przykryta ciężką kopułą czerwoną. Krzyż tylko na szczycie został niedawno podparty, z latami bowiem pochylił się znacznie i groził upadkiem.

Od długiego czasu nie odprawiano tu już nabożeństw i mało kto zachodził kiedy do wnętrza, gdzie nawet lampa wieczysta nie świeciła się przed ołtarzem z obrazem świętego Kazimierza, od śmierci matki Mieczysława i Wandy Rożniewskich. Drzwi do kaplicy wysokie, składały się z trzydziestu szyb ze szła grubego we wszystkich kolorach, każda w innym odcieniu. Niegdyś, gdy w środku stale światło płonęło, efekt to był wspaniały, stanąć przed kaplicą, po wejściu na szczyt wzgórza. Dziś tylko w godzinie zachodu słońca można było jeszcze w pogodne wieczory podziwiać obraz niezwykły, kiedy słońce po nieboskłonie staczając się poza lipy parkowe, znajdowało się na chwilę tuż poza oknem okrągłem nad ołtarzem: wówczas przed wzrokiem stojącego przed progiem kaplicy ukazywało się na krótko zjawisko od tęczy piękniejsze, a rozigraniem się barw oślepiające...

Baron Goldenthal z młodym Remanem nie natrafili tu na chwilę podobną. Ludwik zresztą nie miał czasu, pomimo wielkiej ciekawości, przypatrzeć się czemukolwiek dokładniej, baron bowiem szybko minął front kaplicy i pociągnąwszy za sobą towarzysza, przystanął przed boczną ścianą, gdzie umieszczone były przez pół w dolnej części muru, przez pół zaś już w ziemi u stóp kaplicy — drzwi żelazne z wyrytemi pośrodku głoskami: D. O. M.

Goldenthal spojrzał na te drzwi, potem na Remana popatrzył i odszedł stamtąd, znowu ciągnąc za sobą zaraz Ludwika.

Z tyłu kaplicy pod ścianą z okrągłem oknem z nad ołtarza nie było nic prócz gęstwiny krzaków. Nigdzie śladu wydeptanej ścieżki. Krzewy wysokie rosły tak gęsto obok siebie, że tworzyły istne sploty, jakgdyby powoje i bluszcze, których tam nie było. Widząc to, Ludwik stanął, a baron starał się wcisnąć w gęstwinę. Gdy mu się to nie udawało, zachodził co trochę z innej strony. Widocznie szukał czegoś. Co chwila tylko oglądał się, czy Reman nie odszedł. I znowu zagłębiał się w krzaki na pochyłości wzgórza u stóp samotnej kaplicy.

Wreszcie jakgdyby coś znalazł, machnął ręką w stronę zaciekawionego tem wszystkiem towarzysza, a kiedy ten zbliżył się zaraz, szepnął do niego:

— Pójdziemy tam razem.

— Gdzie — zapytał Reman zdziwiony.

Baron uśmiechnął się, a twarz jego była tak rozpromieniona dziwnie, że Ludwik nie przypominał sobie, by kiedy widział Goldenthala w podobnem podnieceniu. Zaintrygowało go to tem bardziej.

— Nic pan nie pytaj, tylko chodź za mną.

Wcisnęli się teraz obaj między sploty najwyższych krzaków, połami płaszczy chroniąc sobie twarz przed kolcami, które na nich odzież już rozdzierały i naraz zatrzymali się przed niedużemi drzwiczkami z żelaza kutego, od rdzawej powłoki czerwonego, których zawiasów ni futryny kamiennej nie było nawet widać z pod pleśni i mchu.

Baron na wszystkie boki drzwi te obmacywał, szukając widocznie miejsca, w którem zamek się znajdował, ale na otwór, żaden natrafić nie mógł w żaden sposób. Zaczął mu Ludwik pomagać, ale również bez skutku. Reman szukał przeważnie w połowie wysokości drzwi, baron zaś przeciwnie, bądź na górze, bądź też na dole.

Wreszcie wyjął Goldenthal z kieszeni duży scyzoryk, otworzył go i wskazał Ludwikowi miejsce na dole drzwi, gdzie kazał mu ostrzem zeskrobywać naprzód mech, a potem rdzę.

W ciszy rozlegały się przez chwilę przeraźliwe zgrzyty noża po żelazie.

Baron niecierpliwił się gdy na nic nie natrafiano. Spostrzegł, że nie dadzą sobie rady bez światła i daremnie żałował, że oprócz świecy nie miał przy sobie latarki. Światła zaś było nie sposób zapalić, tak silny wiatr panował tam na górze mimo na pozór zacisznego ustronia, a dzień był w ogóle chmurny i wietrzny i niebo deszczem groziło.

Już rozpacz barona ogarniała, gdy wtem nóż resztki rdzy zekrobując, natknął się na coś w żelazie. Więc się Ludwik w tem miejscu nachylił do drzwi bliżej i skrobał uważniej.

— Jest dziura — szepnął nagle z radością i tryumfem, sam już przejęty tajemniczą historyą.

Goldenthal ukląkł przy nim na ziemi i w miejscu wskazanem bacznie macał palcem.

— Tak, to tutaj — mruknął sam do siebie i wyjął z kieszeni jakiś klucz staroświeckiej roboty. Próbował wcisnąć go w otwór, jednakowoż na próżno.

Okazało się, że dziurka od klucza musiała być i wewnątrz zatkana. Wziął tedy od Ludwika nóż i długo w otworze majstrował, zanim nie oczyścił zamku o tyle, że się dało klucz wsunąć do środka.

Znowu minuty upływały, baronowi wydające się godzinami, a siły obu mężczyzn nie wystarczały, by klucz w zamku przekręcić.

Obaj nie mogli się od okrzyku powstrzymać z chwilą, gdy nareszcie po długich mozołach rozległ się zgrzyt przeraźliwy, który powtórzyło jakieś tajemnicze echo ponure. Wtedy baron klucz wyciągnął z zamku i z powrotem uważnie włożył do kieszeni. Wstał i od góry drzwi zaczął palcem odmierzać przestrzeń, zsuwając rękę coraz niżej, aż natrafił na to, czego widocznie szukał.

— Panie Ludwiku, niech-no pan w tym punkcie mocno naciśnie... pan masz więcej sił odemnie...

Reman stosownie do wskazówek naciskał drzwi, ale chociaż wszystkich sił do tego używał, skutków nie było widać. Więc baron znowu próbował i rzeczywiście dał się słyszeć naraz trzask sprężyny. Już Ludwik sobie wyobrażał, że wystarczy drzwi pchnąć po tem wszystkiem, żeby zajrzeć do środka, gdy tymczasem płyta żelazna pod jego pięścią nawet nie drgnęła. A jednak drzwi były już otwarte, wisiały ciężko na zawiasach, niczem już nie zapierane.

Goldenthal wszelako znając drzwi tych tajemnicę, nie dziwił się, ani nie martwił. Podał swemu towarzyszowi świecę, kazał mu ją mocno trzymać w ręce, sam zaś w jedną rękę wziąwszy pudełko zapałek, drugą pchnął lekko drzwi, ale nie z tej strony, z której Ludwik — wnioskując logicznie — próbował je otworzyć.

Wyziew stęchlizny podziemia owionął ich obu, kiedy się naraz przed nimi rozwarła czarna czeluść.

Ludwik zdumiał się wielce, gdy baron znany mu dotychczas z często wypróbowanego tchórzostwa, tutaj postąpił śmiało teraz przed siebie, wchodząc do wnętrza pierwszy, żeby ochroniwszy się przed wiatrem, zapalić zapałkę. Reman podsunął mu świecę i naraz rozjaśniła się nieco grota pod kaplicą, na progu ktorej stanęli.

Szybko rozejrzał się więc od drzwi Ludwik przy mdłym blasku świecy, ale nie ujrzał nic prócz czarnego sklepienia w górze i po bokach i jeszcze czarniejszej przepaści, która się przed nimi otwierała.

Tuż za drzwiami był prostokątny nieduży ganeczek z żelazną baryerką, na który właśnie weszli, stąd zaś w dół prowadziły schody kamienne.

Lęk zdjął młodego człowieka, kiedy baron, zaledwie się obaj w środku znaleźli, przymknął drzwi za sobą,

— Zejdziemy w dół... trzymaj pan mocno świecę, panie Ludwiku i uważaj, żeby nam nie zgasła... No, cóż pan się boisz, nie bądź-że pan głupi... Idź-że pan przodem i świeć pan dobrze drogę... Strach pana ogarnia, to pan sobie przypomnij siostrę swoją, z tą myślą zaraz panu będzie raźniej... Ale tu zresztą niema do czego mieć odwagi, są schody, schody i jeszcze raz schody... Niech mi pan wierzy... ani jednego nieboszczyka tutaj nie spotkamy, boś pan przecie widział, gdzie były drzwi do grobowca Rożniewskich pod kaplicą... A schodów przecież się pan nie boisz.

Troszkę wstyd było Ludwikowi tych słów barona, zwłaszcza, że pamiętał, co za tchórz był z Goldenthala, który teraz tak śmiało schodził w głąb tajemniczej jaskini. Milcząc tedy, lubo ciągle z duszą na ramieniu, po wązkich schodach schodził coraz niżej przodem, uważnie niosąc świecę, baron zaś postępował za nim krok za krokiem.

Stopnie kamienne prowadziły w głąb w ten sposób, że co kilkanaście schodów zakręcały w bok. Zdawało się, że nie będzie nigdy ich końca. Szli już długo w milczeniu, na żadne nie natrafiając niespodzianki. Ile razy zakręcali, spuszczając się w głąb podziemia, nie mógł już w tem zoryentować się Ludwik, który wszakże pilnie i przytomnie rachował stopnie.

Doliczył się właśnie już osiemdziesięciu schodów i wspomniał sobie w myśli, że równo tyle stopni prowadzi na czwarte piętro do jego mieszkania w Łodzi.

Wtem pod nogami uczuli zamiast kamienia miękki piasek, a jednocześnie owionął ich nieco cieplejszy prąd powietrza. Reman oświetlał wszystkie kąty. Okazało się, że schody skończyły się i obaj znaleźli się na przestrzeni niedużego czworoboku ścian kamiennych, skąd w żadną stronę nie było już niągdzie wyjścia.

Ludwik rozejrzał się pilnie, ale nigdzie oko jego nie natrafiło na żaden przedmiot. Piasek na ziemi był gładki i pusty, a nawet w ścianach kamienie nie różniły się jedne od drugich niczem, wszystkie gładkie i rozmiarów jednakich. Wszystko to dziwiło więc młodego Remana niezmiernie, Goldenthal jednak sprawiał wrażenie, jakgdyby to wszystko nie było dla niego niespodzianką, lecz przeciwnie, jakgdyby zastał był tutaj wszystko w tym stanie, jak się spodziewał. Ledwie przystanęli, wyjął baron z kieszeni zwijaną miarkę, ale, jak zaraz to spostrzegł Ludwik, nie metrową, lecz starą calówkę. Zbliżył się do muru i zaczął mierzyć. Palce drżały mu przytem widocznie; co chwila wzywał Ludwika, żeby mu lepiej poświecił.

Po chwili znalazł wreszcie punkt, którego szukał. Wtedy wziął z rąk Remana sam świecę i oświetlił nią sobie jeden z kamieni, ściany stanowiących.

Tuż za nim stanął Ludwik w najwyższym stopniu zaciekawiony, czego tam baron szuka.

Nagle kamień, właśnie ten oświetlony, wypadł z muru na ziemię, a Ludwik zauważył, że głaz ten na pozór niczem nie różniący się od innych, był jednak zupełnie cienki i wewnątrz wydrążony, więc zupełnie lekki. Kiedy wzrok z niego podniósł z powrotem na barona, spostrzegł, że ten wyjął z otworu w murze jakąś ukrytą tam szkatułkę...

— Zamknij pan na powrót ten otwór — odezwał się naraz baron do niego, a Ludwik dźwignął z ziemi lekki kamień i w jednej chwili z łatwością wsunął go na dawne miejsce, a kiedy rozejrzał się po ścianach, zauważył, że już by mu

z trudem przyszło odnaleźć miejsce, w którem przed chwilą był otwór.

Kiedy z powrotem szli po schodach pod górę, świeca już się prawie kończyła, tak, że Ludwikowi, który z nią szedł w tyle, trudno nawet było utrzymać światło w palcach.

Baron Goldenthal nie szedł, a prawie biegł przodem, pnąc się w górę po schodach ze szkatułką w ręce, co robiło takie wrażenie, jakgdyby nie mógł się doczekać, kiedy się z nią znajdzie w pokoju. To też Ludwik, lubo znacznie młodszy i silniejszy, z trudem mógł mu nadążyć, aż mu tchu brakowało w piersiach i w boku go kłuło...

Wtem naraz światło zgasło.

Straszne ciemności ogarnęły ich w głębi jaskini, a Ludwika trwoga zdjęła okropna na myśl, że baron mógłby do drzwi dobiedz teraz prędzej od niego i zamknąć go w podziemiach.

Już kawał drogi ubiegł Goldenthal naprzód, snać idąc pewnie przed siebie, gdy Ludwik w trwodze słaniając się co chwila na schodach, był o kilkanaście stopni niżej. Więc strach zaczął go pędzić i naraz, prawie na czworakach goniąc barona, znalazł się tuż za nim i wśród ciemności chwycił go z tyłu za płaszcz.

— Co to jest — krzyknął baron.

Ludwik nic nie odpowiedział, tylko oburącz z wszystkich sił trzymając się jego płaszcza, wspinał się spiesznie za nim po schodach.

— Puść, Reman... czyś ty zwaryował — krzyczał Goldenthal i nagłem szarpnięciem spróbował oswobodzić się, ale mu się to nie udało, bo Ludwikowi strach dodawał siły, więc z zaciśniętych rąk płaszcza nie puszczał, zwłaszcza, że zachowanie się barona utrwalało go w podejrzliwości.

Byli już blisko drzwi, kiedy Goldenthal nagle przystanął. Ludwika ogłuszył naraz huk wystrzału, a prawie jednocześnie w błyskawicznym blasku zjawiła się przed nim iście szatańska twarz barona.

Kula rewolwerowa chybiła.

Gdy ciemność na nowo zaległa jaskinię, Ludwik usłyszał powtórne odciąganie kurka. Więc zrozumiawszy, że się rozgrywa walka o śmierć lub życie, zdecydował się na krok ostatni. Z wszystkich sił swoich szarpnął barona, żeby go o tyle odepchnąć, by mógł sam na schodach znaleźć się przed Goldenthalem bliżej drzwi.

Wśród tego padł drugi strzał, lecz i tym razem nie dosięgnął Ludwika, tylko mu kapelusz przedziurawił i z głowy strącił.

Przez długą chwilę zmagali się ze sobą, szamocąc się...

Wreszcie przewrócili się obaj wśród walki i dwa ciała zaczęły się staczać po schodach z góry na dół w czarną przepaść.

Ponownie żywcem pogrzebany.

Opuśćmy na chwilę Rożniewo, a powróćmy do Warszawy.

Zapewne jeszcze żywo w pamięci Czytelników pozostała owa nocna scena w mieszkaniu doktora Anielskiego w Alejach Jerozolimskich, kiedy to zakradł się jak złodziej, baron Goldenthal do szuflad biurka nieboszczyka dla zdobycia niesłychanie ważnych dokumentów, a zaledwie schował papiery do kieszeni, ujrzał upiora — i uciekł.

W jaką godzinę później z tego samego mieszkania, powoli drzwi na zatrzask zamykając, wyszedł na ulicę przez otwartą, jak ją baron zostawił, bramę, mężczyzna w płaszczu znoszonym i niemniej starym kapeluszu, i pod murami kamienic snuł się niby cień.

Szedł bez celu, widocznie z sił wyczerpany. Skręcił w Nowy Świat, przeszedł go wkrótce i nie zbaczając już, zmierzał Krakowskiem prosto w stronę Zygmunta, chwilami tylko przystając dla spoczynku lub rozglądając się, jak gdyby szukał jakiegokolwiek lokalu otwartego. Ale tu wszystko było zamknięte, a gdzieniegdzie tylko światło biło na ciemne ulice z okien pierwszorzędnych restauracyj, których ten jednak unikał.

Tak wlokąc się prosto przed siebie, minął wreszcie plac Zamkowy i sam nie wiedział kiedy znalazł się na rynku Starego Miasta.

Była to chwila przed świtem, kiedy pierwsi przekupnie przybywają na targ do miasta jeszcze śpiącego i rozgospodarowują się na swoich straganach.

Kiedy wszedł na czworobok ciemnego rynku, uderzyło go w oczy światło z drugiego końca za straganami, więc w ślad za niem podążył, przyspieszając kroku, do staroświeckiej kawiarenki, do której wchodziło się z chodnika po kilku wysokich schodkach.

Zachwiał się w progu drzwi otwartych, gdy z oświetlonej izby buchnęły w niego zmieszane wyziewy różnorodne, jakie musi się napotykać w tego rodzaju lokalach.

Przy najbliższym stoliku usiadł ciężko, zadowolony, że dopadł krzesła i słabym głosem poprosił o jedzenie, gdy się do niego zbliżyła usługująca w izbie kobieta.

Siedziało tam kilkanaście osób. Byli między nimi przekupnie z targu na pierwszem śniadaniu, byli pijacy nocni z miasta, którzy tu się trzeźwili od chwili, gdy im już wszystkie knajpy zamknięto, byli wreszcie jacyś ludzie bezdomni z tłumu mętów wielkomiejskich. Po większej części ludzie ci znali się ze sobą choćby z widzenia i rzadko się trafiało, żeby się tam znaleźć mogła figura, co do której nikt z obecnych nie mógłby dać wcale objaśnień.

A właśnie tak się zdarzyło w tej chwili.

Ostatni gość już, gdy się zachwiał na progu, jak pijany, chociaż na pijanego nie wyglądał wcale, zwrócił natychmiast na siebie powszechną uwagę, a siedząc potem przy pierwszym od drzwi stoliku samotnie, budził ciągle sensacyę. Nikt go nie znał, nikt go tu nigdy nie widział. Jeden drugiemu wskazywał go, pytając, co to za dziwny człowiek. Przebranych ajentów policyjnych w tego rodzaju lokalach domyślali się goście łatwo. Tego jednak człowieka nikt o to nie podejrzywał.



Przez długą chwilę zmagali się ze sobą, szamocąc się....

Jedna ze starych przekupek podeszła w głąb do gospodyni i odezwała się prawie głośno:

— No, ten ci wygląda, jakby tydzień leżał w grobie...

— Dalibóg, że naprawdę patrzy mi na trupa... Ale też głodny jak wilk... Patrzcie, jak się zażera.

Za chwilę później wszedł do izby na kawę tajny ajent śledczy, o którym w tych sferach, jakie w tym lokalu bywały, wiedziano dobrze, kim był i po co zazwyczaj tam przychodził.

— Co tam nowego? — zagadnęła go gospodyni.

— Trupa do sekcyi przygotowanego wykradziono tej nocy z prosektoryum — zawołał ajent, wodząc bacznie wzrokiem po twarzach obecnych.

W tejże chwili zauważył za stolikiem przy drzwiach nieznajomego, który tu budził takie zaciekawienie, a którego dziwna figura tem bardziej zaintrygowała ajenta.

Poszedł prosto do niego, nachylił się nad nim, widząc, że ten po jedzeniu prawie drzemie z oczyma na wpół rozwartemi i zagadnął go głośno:

— Hej... kto pan jesteś?

Zagadnięty zatrząsł się, dźwignął głowę w górę.

— Ja? — bąknął słabym głosem.

Teraz właśnie na twarz jego trupiej bladości padło więcej światła z lampy. Ajent na ten widok wzruszył ramionami i powiedział spokojnie:

— Panie, chory pan jesteś... idź pan do domu albo do szpitala.

Ajent opuścił izbę, do której zaczęło teraz napływać coraz więcej ludzi. Zrobiło się gwarno i ciasno, że wreszcie nikt prawie nie zwracał uwagi na dziwnego człowieka, a ten siedząc dalej sam w kącie, spoglądał tylko często na zegar nad bufetem.

Zrobił się już biały dzień, kiedy opuścił staromiejską kawiarenkę i przez Podwale, Senatorską wrócił do środka miasta.

Wkrótce zatrzymał się przed bramą kamienicy, gdzie powyżej dzwonka do stróża widniała biała tabliczka elipsowata z wyraźnym czarnym napisem:

„Dr. Wrzesiński, lekarz“.

Nieznajomy wszedł na drugie piętro, z trudem pnąc się po schodach.

Nacisnął przy pierwszych drzwiach guzik dzwonka.

Natychmiast drzwi się otwarły i wyjrzała z nich młoda służąca, która na widok mężczyzny przed progiem, trzasnąwszy drzwiami, cofnęła się do przedpokoju z krzykiem:

— Jezus Marya! doktor Anielski!...

Nieznajomy schwycił się za czoło, zachwiał się, zatoczył pod ścianę i ręką trzymając się muru, zaczął powoli schodzić z powrotem po schodach.

Wtem drzwi otworzyły się na nowo.

Stanął w nich młody człowiek w bieliźnie, który najwidoczniej co dopiero z łóżka wyskoczył na krzyk służącej. Teraz z progu wyjrzał i zirytowanym głosem zawołał, gdy przed drzwiami nikogo nie zastał:

— Głupia jesteś, Zośka...

Lecz ledwie to wyrzekł, spojrzał na schody, po których, jak cień, zsuwała się w dół postać chwiejna.

Jak stał w bieliźnie tylko, rzucił się na ten widok doktór Wrzesiński na schody, schwycił w ramiona słaniającego się upiora, który tak przeląkł służącą i w twarz trupio bladą zaglądając uważnie, zawołał:

— Zmiłuj się... Anielski... to ty jesteś?... żyjesz!...

Cień człowieka nie dał odpowiedzi ani słowa, tylko naraz złamał się we dwoje. Przyjaciel powstrzymał od upadku na schody omdlewające ciało i siły skupiwszy, zaniósł je na rękach, jak dziecko, do swego pokoju.

— Żyje mój Janek, żyje — wołał do domowników.

Rychło docucił się omdlałego, lecz go zaraz rozebrał zupełnie i ułożył pod ciepłą kołdrą w swojem łóżku.

Dotychczas z ust jego nic jeszcze nie usłyszał, a niecierpliwe oczekiwanie przyjaciela-lekarza trwało długo, mimo, że Jan Anielski przychodził do siebie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Głos polski nad Newą.

Jako dokument historyczny przytaczamy tu odezwanie się jednego z polskich posłów w Dumie państwowej w Petersburgu w sprawie obchodzącej ogół polski. Oto podczas rozpraw nad interpelacyą



Głos polski nad Newą: Pierwsi posłowie z ziemi Radomskiej do Dumy państwowej: Jan Wigura i Józef Ostrowski.

w sprawie wywołania pogromów inteligencyi i więzienia przestępców politycznych zabrał głos poseł polski z Łomży, adwokat przysięgły Chrystowski i rzekł:

„W imieniu całej naszej grupy popieram gorąco podany tutaj wniosek. My, Polacy, cierpimy skutkiem dwojakiego ucisku: ucisku pod względem obywatelskim i od ucisku pod względem narodowym. U nas poczytuje się za przestępstwo nietylko to, co i u was, tj, miłowanie wolności i dążenie do niej, ale także to, co u was popierają, a mianowicie obronę godności narodowej. Nasze więzienia są przepełnione kwiatem młodzieży i najlepszymi ludźmi z pośród włościan. Na równi z tymi, co rozpoczęli walkę o prawa ogólno ludzkie, znajdują się tacy, których cała wina polega tylko na tem, że stojąc na gruncie swobód, nadanych w manifeście październikowym, poczytywali za możliwe żądanie wprowadzenia ojczystego języka polskiego w tych instytucyach z których go do tej pory usuwano, a mianowicie: w urzędach gminnych, sądach i szkołach. — Jest jeszcze jedna kategorya więźniów, którym powiedziano, że nie dają im aktu oskarżenia, ale że nie można pozwolić im żyć na wolnej stopie, ponieważ skutkiem formacyi swego umysłu przedstawiają się jako nieprawomyślni. Do tej kategoryi zaliczają także i tych, w których działalności władza sądowa nie znajdowała faktu przestępstwa, ale którzy mimo to pozostawali pod strażą na zasadzie przepisów o ochronie wzmocnionej. W takich przypadkach trzymani są pod strażą bez terminu, gdyż termin uwięzienia jest osadzonym w więzieniach niewiadomym. Taki stan dla samych więźniów, dla ich krewnych i wogóle dla wszystkich bliskich równa się uwięzieniu beztermінowemu.

Czas już położyć kres tej uczcie uprawnionego gwałtu! Wnoszę nietylko jednomyślne poparcie po danej interpelacyi, ale dodaję, że byłoby pożądane, aby nie minął ani jeden dzień bez podobnej interpelacyi. — Niechaj ona będzie naszą codzienną modlitwą, potrzebną dla uspokojenia naszego sumienia i dla przekonania o tem, że nie zapominamy o żadnym fakcie. Niezależnie od tego wnoszę, aby bez względu na wyniki podanej dzisiaj interpelacyi, wnosić codziennie takie same w przypadkach analogicznych“.

Przytaczając powyższą mowę naszego przedstawiciela w Dumie, podajemy przy tej okazyi w dalszym ciągu kilka portretów posłów z Królestwa Polskiego.

Warneńczyk na Wawelu.

Katedra wawelska, to „święte świętych“ na Akropolu polskiego narodu, miejsce, które zda się tętnić wiecznie potęgą, utajoną w grobowcach, zadumaną na starych, zdobywczych makatach, któremi jej ściany obwieszono, zyska wkrótce nową, wspaniałą ozdobę. Po lewej stronie nawy głównej, tuż obok sarkofagu ze zwłokami świętego Biskupa-męczennika, rozpoczęto już roboty około ustawienia pomnika Władysława Warneńczyka, tego rycerza chrześcijańskiego, który w obronie wiary żywot swój złożył na pobojowisku pod Warną, tego bohatera, który na dwudziestoletniej zaledwie, młodzieńczej skroni dźwigał godnie królewską koronę i z pośród szeregu bohaterów zasłynął jako jeden z pierwszych. Za kilka tygodni prace około ustawienia pomnika będą już skończone, a katedrze przybędzie nowe, wspaniałe dzieło sztuki, tej sztuki wielkiej i czystej, przed którą czoło kornie schylać trzeba. Nie będziemy się rozpisywali o pomniku samym, dokładny opis podamy wraz z illustracyą po odsłonięciu pomnika. Na razie dajemy tylko kilka szczegółów o twórcy tej nowej ozdoby wawelskiej świątyni, p. Antonim Madejskim.

Nazwisko p. Madejskiego znają wszyscy, którzy choć raz tylko mieli sposobność być w katedrze wawelskiej, bo musieli tam zwrócić uwagę na wspaniały, prześliczny wprost grobowiec królowej Jadwigi, który jest również dziełem znakomitego artysty. Grobowiec Jadwigi zwrócił prawdopodobnie uwagę księcia kardynała Puzyny na Madejskiego, gdyż grobowiec Warneńczyka, zainicyowany przez kardynała, oddano p. Madejskiemu do skomponowania i wykonania.



Głos polski nad Newą: P. Grabiński z Zagłębia Dąbrowskiego, poseł z ziemi Kieleckiej do Dumy państwowej.

Nad grobowcem Warneńczyka pracował p. Madejski półtrzecia roku w swej olbrzymiej pracowni na via Flaminia w Rzymie. Na illustracyi jaką obok zamieszczamy, widzimy p. Madejskiego przy pracy nad grobowcem. Naokół wszędzie widać jakąś składową część grobowca, widać, ile kolosalnej pracy i płomiennego natchnienia włał artysta w swe dzieło, mające stanąć w kościele narodowych pamiątek — na Wawelu.

Antoni Madejski, jest jednym z tych artystów, którzy pomimo pracy na obczyźnie, w każde swe dzieło wlewają kawał swojej polskiej duszy, tak, że czuć w niem narodowość twórcy. Takiem tchnieniem oddycha naprzykład grobowiec Jadwigi, gdzie klasyczna forma zlała się w jedno z swojskim, z naszym wdziękiem. Taką pięknością piękny jest pomnik Warneńczyka, jedno z najwspanialszych dzieł współczesnej sztuki polskiej, oraz szereg przepięknych dzieł, porozrzucanych po całym świecie. Talent to w pełni rozwoju, pozwalający snuć najpiękniejsze co do p. Madejskiego na przyszłość nadzieje.

Ukończywszy szkoły średnie w Żytomierzu, p. Madejski przeznaczony został do pracy na roli. Jednak młody zapaleniec nie czuł wielkiego pociągu do tej pracy, marzył o innych plonach, o wieńcach nie z kłosów żyta lub pszenicy, ale o laurach w dziedzinie sztuki. Pokonał więc trudności, udał się do Krakowa i zapisał się do Akademii sztuk pięknych w roku 1883. Po studyach w Krakowie wyjechał do Wiednia, poczem osiadł na krótki czas w kraju. Po kilkuletniej tułaczce po Rosyi w roku 1897 osiadł w Rzymie, gdzie dotąd przebywa.



Warneńczyk na Wawelu: Artysta rzeźbiarz Antoni Madejski w swojej pracowni w Rzymie przy wykończaniu pomnika króla Władysława Warneńczyka dla katedry zamkowej na Wawelu; pracownia zapełniona szkicami i poszczególnemi częściami tegoż pomnika.

Zdetronizowany król.

Na bruku paryskim zjawiają się od czasu do czasu egzotyczne wielkości, strąceni i spensyonowani królowie, którzy w tem mieście rozkoszy i przyjemności starają się zapomnieć o swoich nieszczęściach i stracić pieniądze, dawne, dobre czasy im przypominające. Żyją oni sobie wcale wesoło i cieszą się, że przyszli na świat w epoce dojrzałego humanitaryzmu, w epoce, w której zdetronizowanych władców otacza się zbytkiem i troskliwą pieczą i oszczędza im się krótkiego sposobu wyprawy na

tamten świat. Szczególnie wdzięczni za tę okazywaną im ludzkość są zwłaszcza ci królewscy moście, którzy swego czasu w swoim kraju rozdzielali śmierć tak hojnie, jak poziomki, owi książęta z mrokiem pokrytej części ziemi, władcy, w których orszaku najwyższym i najbardziej zatrudnionym dostojnikiem był kat.

Od tego czasu, zmuszeni koniecznością, ucywilizowali się i po niejednym z tych królów możnaby się spodziewać, że, gdyby tak na nowo objął rządy w swoim kraju, to dałby swoim poddanym nawet konstytucyę, kto wie czy nie lepszą od konstytucyi pewnych państw Europy. Behanzin, były król Dahomeyu, wyraził się w pięć lat po swojej de-



Inne czasy w Petersburgu: Córka posła Muromcewa, pierwszego prezydenta Dumy.

tronizacyi w interwiewie do pewnego dziennikarza, że nauczył się już wiele rzeczy europejskich i jest przekonany, że dorósł do tego, aby mu tron oddano z powrotem i pozwolono rządzić w dawnym swoim kraju. Francuzi jednak, jak się zdaje, sądzą inaczej. Wypłacają mu oni od lat czternastu już wysoką pensyę roczną i każą mu aż do śmierci uczyć się „europejskości“, z tem zastrzeżeniem, że się jej nie będzie uczył w Dohomeyu. Zresztą okazują zdetronizowanemu władcy należną mu cześć i kiedy pewnego dnia jedna z licznych ulubienic czarnej królewskiej mości uciekła od swego pana, policya paryska wytężyła wszelką energię i po kilku dniach odstawiła mu zbiegłą. I wtedy złożył Behanzin dowód swojej europejskiej już kultury: nie postąpił wedle zwyczajowego prawa w swojej ojczyźnie i nie zbił jej na śmierć. Więcej przecież nie można wymagać od władcy kraju, w którym jeszcze przed 40 laty ofiary ludzkie przy pogrzebach i przy każdej zmianie tronu były zwyczajem, uświęconym tradycyą.

Dahomey, murzyńskie państwo w północno-zachodniej Afryce, zetknęło się z Europejczykami po raz pierwszy w roku 1772. W latach ośmdziesiątych ubiegłego stulecia znalazła tam silne oparcie Francya, która w roku 1890 zmusiła Behanzina, króla Dahomeyu, do uznania zwierzchnictwa Francyi na całem wybrzeżu. Nagły rozkwit miast pod rządami Francuzów napełniał Behanzina coraz większą obawą; uważał on się za oszukanego i na wiosnę w roku 1892 wypowiedział Francyi wojnę. 17 listopada tegoż roku zajęli Francuzi pod wodzą pułk. Dodda główne miasto Abome, wojna przeciągnęła się jednak długo jeszcze, aż w roku 1894 Behanzin się poddał i został wywieziony na Martynikę, gdzie dotychczas przebywał. Obecnie rząd francuski wyznaczył mu na rezydencyę miejscowość Blidah w Algierze. Zdetronizowany władca, jadąc z Martyniki do swej nowej rezydencyi, przybył również do Paryża. Jak to widać na załączonej obok illustracyi, zdjętej właśnie za jego pobytu we Francyi, Behanzin nie bardzo sobie bierze niewolę do serca. Minę ma wesołą, uśmiechniętą. Widocznie, mając przy swym królewskim boku swoje czarne ulubienice, czuje się zupełnie szczęśliwym.

Inne czasy w Petersburgu.

Stolica nadnewska nie przestaje budzić w świecie powszechnego zajęcia epokowemi zdarzeniami, jakie w oczach naszych rozgrywają się w ostatnim czasie. Wszyscy śledzą bacznie przebieg obrad Dumy rosyjskiej. Więc każdego z czytelników gazet zajmują osobistości najmłodszych w Europie parlamentarzystów. Podaliśmy poprzednio między innymi portret prezydenta Izby Sergiusza Muromcewa. Dziś zamieszczamy fotografie jego żony i córki.

W numerze poprzednim pisaliśmy o zasadniczej zmianie, jaka zaszła na stanowisku ministra spraw zagranicznych w Rosyi. Mianowicie na miejsce biurokraty Lambsdorfa przyszedł dyplomata Izwolskij. Pierwszego portret znają już nasi Czytelnicy. Dziś podajemy im podobiznę jego następcy Izwolskiego, który ma prowadzić politykę rosyjską zagraniczną w epoce tak ciężkiej i trudnej.



Zdetronizowany król: Behanzin, złożony z tronu król Dahomeju, ze swemi żonami, we Francyi, w drodze z Martyniki do Algieru.

Ratujmy od zagłady.

Godną uznania działalność Tow. opieki nad dziećmi w Warszawie zaznacza załączona tu illustracya (grupa dzieci z przewodniczką). Komitet ten śpieszy z pomocą i opieką nietylko biednej dziatwie warszawskiej, którą partyami zbiera i rozmieszcza na pobyt zdrowotny na wsiach, po dworach i dworkach, ale także uważa za swój obowiązek zaopiekować się ubogą, rozprószoną dziatwą polskich przesiedleńców w Petersburgu. Właśnie taką grupę dziatwy przywiezionej z Petersburga do Warszawy przedstawia załączona illustracya. Są tu wśród niej i takie dziatki, które albo bardzo mało już rozumieją po polsku, albo też wcale nic. Opieka zatem zajmie się nietylko uzdrowieniem ich ciała, ale i ducha narodowego, zagrożonego zagładą na obczyźnie. Wśród swoich pól i lasów odetchną dzieci rodzinnem, zdrowem powietrzem, wśród swoich rodaków przypomną sobie lub też nauczą się rodzinnego języka; a tak zwyrodniałe roślinki, pokrzepione nowemi sokami żywotnemi rodzinnej ziemi i matki ojczyzny, odżyją nowem życiem, tak, że wrócą do swoich już jako szczerze polskie dziatki, które kiedyś odwdzięczą się za to swoim rodakom. *B-t.*



Inne czasy w Petersburgu: Żona posła Muromcewa, pierwszego prezydenta Dumy.

Ibsen umarł.

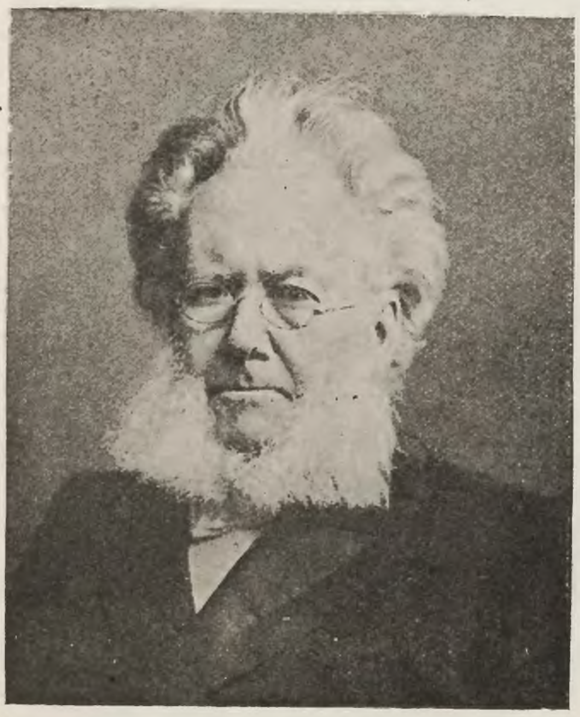
Z Chrystyanii nadeszła wiadomość, że zmarł tam Henryk Ibsen, jeden z największych współczesnego świata dramaturgów.

Zgon jego spowodowała ciężka choroba, która jeszcze z końcem stycznia 1903 roku powaliła go na łoże boleści. Wprawdzie lekarze, pielęgnujący Ibsena, a którzy byli zarazem jego bliskimi i zażyłymi przyjaciółmi, nie chcąc zatrważać rodziny,



Ratujmy od zagłady: Grupa dzieci przesiedleńców polskich w Petersburgu, sprowadzona do Warszawy przez „Towarzystwo opieki nad dziećmi“ dla uzdrowienia ich ciała i ducha narodowego. (Fot. dla „Nowości Ill.“ J. Mieczkowski).

dopatrywali się w niemocy sędziwego pisarza, skutków silnej influenzy, w rzeczywistości jednak wiedzieli oni bardzo dobrze o tem, że Ibsen uległ paraliżowi, który, rozpocząwszy czynność rozkładu silnego organizmu poety, tem samem już musiał wywrzeć wpływ na jego ustrój duchowy. Ostra zima północna, wpłynęła ujemnie na stan zdrowia chorego, Z nastaniem jednak lata, pod wpływem ciepła ożywczego i blasków słonecznych, zdrowie chorego poprawiło się nieco. Zwolna przychodziło polepszenie, tak, że później mógł Ibsen



Ibsen umarł: Jeden z największych dramaturgów współczesnego świata, poeta norweski, Henryk Ibsen.

wyjeżdżać na spacer. Gdy poczęła zbliżać się zima, Ibsen, pomimo nalegań lekarzy, którzy pragnęli go nakłonić do wyjazdu na południe, nie chciał opuścić krainy fiordów. Zima przysporzyła rodzinie znowu wiele zmartwienia.

I tak szło ciągle naprzemian. Po ostrej zimie następowało lato, a z niem i chwilowe polepszenie, lecz mimoto choroba robiła postępy, ataki powtarzały się coraz to częściej, zdolność ruchu coraz bardziej zanikała, aż wreszcie śmierć przecięła pasmo życia pisarza.

Ze zgonem wielkiego poety i dramaturga, schodzi do grobu jeden z tych, który potęgą geniuszu zapładniał duszę nowoczesną krwią najżywotniejszą, a wytrwał na stanowisku wychowawcy nowych pokoleń niemal najdłużej, patrząc na kolejną śmierć wielkich swych towarzyszy Johna Ruskina, pisarza pełnego niezmiernych jasnowidzeń i Fryderyka Nietzschego. Pozostał tylko Lew Tołstoj...

Henryk Ibsen był z pośród nich najdoskonalszy. Wyzbył się wad Ruskina, Nietzschego i Tołstoja, biorąc z głębin ich dusz skarby największe, — skrystalizowane w ogniu płomieni jego geniuszu, który postawił go w rzędzie pierwszych pisarzy i myślicieli współczesnych świata.

Pierwszymi jego dramatami były „Najazd nordyjski“ i „Pretendenci“. Z satyryczną komedyą „Komedya miłości“ wystąpił po raz pierwszy w r. 1862. Gdy w r. 1864 Norwegia nie wzięła udziału w wydarzeniach wojennych, opuścił zagniewany swoją ojczyznę i udał się do Rzymu, a następnie do Drezna i Monachium, poczem od r. 1893 zamieszkał na stale w Chrystyanii.

Z dramatów jego, które obiegły sceny całego niemal cywilizowanego świata wymienić należy: „Podpory społeczeństwa“, „Nora“, „Wróg ludu“, „Kobieta z morza“, „Upiory“, „Rosmersholm“, „Dzika kaczka“, „Budowniczy Solness“, „Mały Eyolf“, „Jan Gabryel Borkman“ i „Gdy my umarli powstaniemy“.

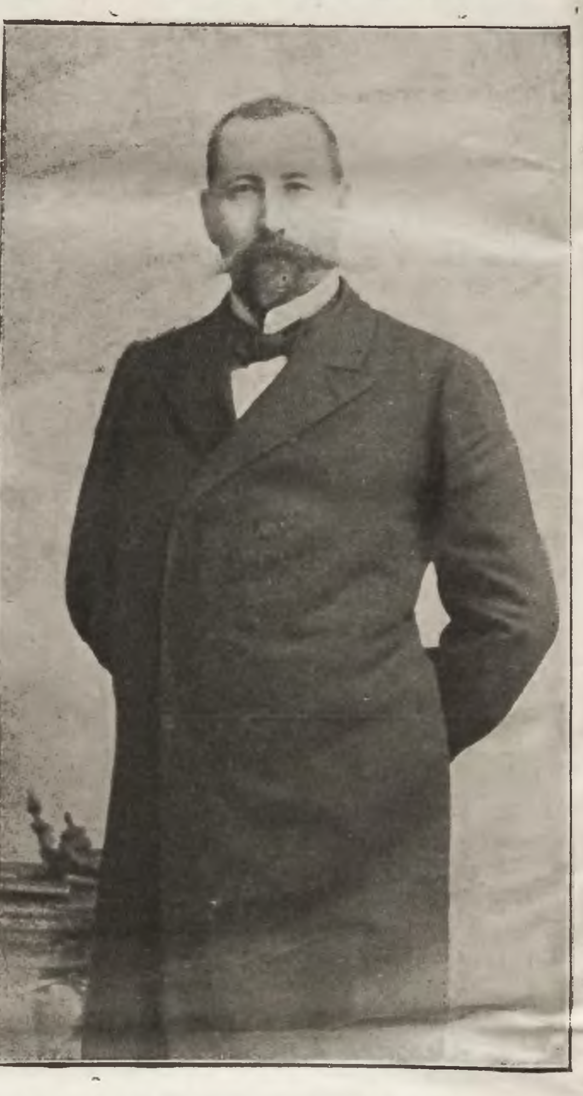
W dramatach tych chciał, według swego własnego wyrażenia, podłożyć „torpedę pod okręt“. I istotnie były to silne torpedy, które wypuścił w całym szeregu dramatów. Obłudę towarzyską, kłamstwa współczesnego pożycia małżeńskiego, przekleństwo dziedziczności — wszystko to piętnował w ostrych wyrażeniach.

Publiczność polska miała sposobność zapoznać się dobrze z Ibsenem, sceny nasze bowiem wystawiały z należnym pietyzmem arcydzieła samotnika skandynawskiego, który znajdował w naszych aktorach często wybornych wykonawców swoich spiżowych postaci.

Drużyny studenckie w Krakowie.

W ostatnich tygodniach, od czasu, jak do Krakowa zaczęły nadpływać jedna za drugą wycieczki studenckie ze wszystkich prawie miast Galicyi, musiały zwrócić uwagę Krakowian drużyny wojskowe studenckie, które z wielką pompą przyjmowały zawsze braci, przybyłych celem zwiedzenia Krakowego grodu. Drużyny te, zorganizowane zupełnie po wojskowemu, podzielone według ilości szkół średnich na pułki, z których każdy ma swój sztandar, budziły zawsze, ilekroć występowały publicznie, szczery zachwyt zwłaszcza u Królewiaków, a imponowały młodocianym gościom, którzy się nawet nie spodziewali, że ich w Krakowie przyjmą z takimi honorami.

Młodzież krakowska, zdając sobie sprawę z tego, czem Kraków jest dla każdego Polaka, tem bardziej dla młodzieńca, przyjmuje gości zawsze z otwartemi rękoma. Widzieliśmy to np. podczas wycieczki studentów lwowskich. Wieczór, w dniu, w którym wycieczka miała przybyć do Krakowa, pomimo deszczu i słoty zebrały się wszystkie pułki krakowskiej młodzieży szkół średnich ze swymi orkiestrami i ustawiły się przed dworcem w olbrzymi czworobok, nad którym powiewały barwne sztandary. Kiedy Lwowiacy ukazali się przed dworcem, orkiestry gimnazyalne zagrały wspaniałą pieśń legionów, przy której podniosłych dźwiękach Lwowiacy przeszli przez żywy mur młodzieży krakowskiej, wzruszeni pieśnią, wzruszeni serdecznem przyjęciem. Wytworzył się dziwny jakiś nastrój, nastrój właściwy chwili, w której rozproszone dzieci, znalazłszy się naraz tuż koło serca matki, czują, że tworzą jedność, że łączy ich jakaś serdeczna nić, a w piersiach rośnie zapał i błogie uczucie, którem drży naokół powietrze: „Jeszcze nie zginęła“! Wrażenie, jakie się odnosi na widok dzielnych drużyn studenckich, odgrywających rolę gospodarzy wobec gości, jest rzeczywiście ogromne. Dlatego podajemy w dzisiejszym numerze grupę, przedstawiającą naczelnika ćwiczebnej organizacyi krakowskich szkół średnich w otoczeniu pułkowników i chorążych gimnazyów Sobieskiego i św. Jacka ze sztandarami, przekonani, że odpowiemy życzeniom Krakowian i wszystkich tych, którzy organizacyę tę mieli sposobność oglądać podczas przyjęcia gości lub podczas ćwiczeń.



Nowy kwestor uniwersytetu we Lwowie: Bronisław Sędzimir, rewident krajowej dyrekcyi skarbu.

Organizacya studencka powstała w Krakowie w roku 1898. Stanowi ją — według słów statutu — młodzież szkół średnich, łącząca się dobrowolnie. a dążąca do wyrobienia między sobą koleżeństwa i karności. Cele te pragnie organizacya osiągnąć przez urządzanie rozrywek tak umysłowych jak fizycznych, a to: wspólnych zebrań, wspólnemi siłami urządzanych odczytów i wieczorków, przez zakładanie czytelń i bibliotek, przez urządzanie wspólnych ćwiczeń, wycieczek, gier, zabaw, musztry, itd. Organizacya oparta jest na gruncie narodowym. Obecnie w skład organizacyi wchodzi 7 pułków. Każdy pułk ma swego pułkownika, podpułkownika i kapitanów, dowodzących pojedynczymi oddziałami. Dla odróżnienia się każdy pułk ma inną barwę szarf, jakie noszą pułkownicy i kapitanowie. Gimnazyum św. Anny ma szarfy czerwone, gimn. św. Jacka różowe, Sobieskiego seledynowe, I realna niebieskie, IV gimn. fioletowe, II realna ciemnozielone, a gimnazyum podgórskie, które niedawno przystąpiło do organizacyi krakowskiej, tęczowe. Gimnazya św. Anny,



Fot. specyalnie dla „Nowości Illustr.“ aparatem redakcyjnym W. Lis w Krakowie.
Drużyny studenckie w Krakowie: Naczelnik organizacyi ćwiczebnej studentów krakowskich w otoczeniu pułkowników i chorążych gimnazyum Sobieskiego i św. Jacka ze sztandarami.

św. Jacka i Sobieskiego posiadają swoje własne sztandary, niektóre z nich, jak np. gimn. Sobieskiego, prześliczne. Ponadto ma organizacya 4 orkiestry, a mianowicie z gimnazyum św. Anny, św. Jacka i Sobieskiego w Krakowie, oraz z gimnazyum podgórskiego. Na czele wszystkich pułków stoi naczelnik, ktory nosi szarfę biało-czerwoną. Takie same szarfy noszą adjutanci naczelnika.

Organizacya cieszy się wśród młodzieży szkolnej wielkiem wzięciem. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że prawie wszyscy uczniowie do niej należą, a uczniów jest przeszło sześć tysięcy.

Nowy kwestor uniwersytetu we Lwowie.

W ubiegłym tygodniu nadeszła do Lwowa z ministerstwa wyznań i oświaty nominacya p. Bronisława Sędzimira, rewidenta kraj. dyrekcyi skarbu, na kwestora uniwersytetu. P. Sędzimir (oto jego portret) rodem ze Stanisławowa, ukończywszy nauki, wstąpił do wojska. Jako oficer służył przez kilka lat, a następnie przeszedł do służby w namiestnictwie, a później w dyrekcyi skarbu. Przed dwoma laty, gdy wieloletni kwestor uniwersytetu we Lwowie p. Ananiasz Ardan zaniemógł na zdrowiu, objął p. Sędzimir zastępczo jego obowiązki. Obecnie ministerstwo mianowało go stałym kwestorem.

Nowo mianowany kwestor cieszy się we Lwowie dużą sympatyą, jest bowiem człowiekiem bardzo uczynnym i uprzejmym. Znanym jest też w szerokich kołach, bo przez dłuższy czas był prezesem Tow. weteranów wojskowych.

Wycieczka, jakiej jeszcze nie było.

Różne już były z Krakowa wycieczki, przyjemne i niefortunne, albo z niespodziankami programem zapowiedzianemi, albo z przeszkodami nieprzewidzianemi przez komitet, który potem musiał po gazetach za nie przepraszać publiczność, byle módz ją na przyszły raz znowu namówić na jakąś bajeczną, sądząc po reklamie, majówkę. Uczestnicy bowiem różnych festynów, których inicyatorzy cuda zapowiadają afiszami, a ofiarują często za koronę tylko kilka godzin nudów, sparzywszy się nieraz, dają się już coraz trudniej złapać na wędkę pięknie brzmiących komunikatów po dziennikach.

Wprawdzie nie można się dziwić owym przeróżnym komitetom, że puszczają dużo rakiet reklamy, ile razy zabierają się do jakiegoś przedsięwzięcia. Inaczej przecież nie udałoby się im złowić uczestników. A nie zapominajmy, że zazwyczaj festyny, rauty, bale, majówki, wycieczki itp. zabawy publiczne odbywają się u nas na cele niezmiernie pożyteczne. Wszakże większość naszych instytucyj dobroczynnych, podobnie jak stowarzyszeń szerzących oświatę, zajmujących się ludem lub młodzieżą — czerpie środki potrzebne prawie jedynie z dochodów, jakie niosą podobne przedsięwzięcia w rodzaju zabaw publicznych, urządzanych na zasadzie łączenia „przyjemnego z pożytecznem“.

Więc kiedy do udziału wzywa publiczność tak sympatyczna instytucya, jak T. S. L., każdy — kto może — śpieszy, dajmy na to, na wycieczkę, w tem przekonaniu, iż komitet postara się uprzyjemnić mu kilka godzin w zamian za to, że na cel popularny a wielce pożyteczny zostanie złożona odpowiednia danina. A już rzeczą komitetu jest dbać o to, by do kasy wpłynęło najwięcej dochodu czystego w taki sposób, żeby publiczność nie narzekała, że kazano jej płacić za darmo. Dlatego w komitetach takich muszą zasiadać ludzie pomysłowi i obrotni. Szkoda, że często brak takich ludzi w komitetach rautów czy majówek i festynów.

Właśnie w poprzednim tygodniu jedno z takich przedsięwzięć o celach jak najsympatyczniejszych i ze wszech miar poparcia godnych — dało powód do głośnych narzekań w szerokich kołach zwabionych reklamą uczestników, których narażono na przykry zawód. Kto tylko mógł poświęcić na świąteczną majówkę kilka koron, wybrał się chętnie na wycieczkę z Krakowa do puszczy Niepołomickiej Wisłą na czterech galarach. O ósmej rano pod Wawelem zebrało się około 500 wycieczkowców. Ależ chyba nie przyszłoby ani pięciu, gdyby był kto przypuszczał, że podróż będzie trwała do 4-ej popołudniu. Cóż robić przez tyle godzin na galarze, nie mając ani na chwilę cienia odrobiny w godzinach największego upału w pogodny dzień słoneczny! Ani wygodnego siedzenia, ani panoramy



Wycieczka, jakiej jeszcze nie było: Publiczność na dwóch drugich galarach wyrusza z pod Wawelu o 9-ej rano, nie przypuszczając, że do puszczy Niepołomickiej dopłynie dopiero o 4-tej popołuduiu. (Fot. W. Lis).

zajmującej po drodze, prócz monotonnej wikliny po obu brzegach szarej Wisły... To też łatwo sobie wyobrazić, jak taka podróż znużyła wszystkich nieprzygotowanych. Lecz każdy, znalazłszy się na lądzie nareszcie, wyobrażał sobie, że już za te męki, jakie mu za kilka koron zgotowano dotychczas, czeka go, Bóg wie, ile niespodzianek, ile przyjemności i zabawy na miejscu, w owej puszczy, tak wyglądanej niecierpliwie przez mieszczuchów. A tu znowu nic. Więc zawód i słuszny żal publiczności, której większa część dowiedziała się tam dopiero, o czem nawet komitetowi nie wiedzieli, że na to samo miejsce można się dostać z Krakowa za 30 centów w ciągu pół godziny koleją do Podłęża, skąd do Niepołomic niedługi i przyjemny spacer dobrą drogą i że można tam zastać bezpłatnie, wszystko to samo, do czego miał uprawniać blilet uczestnictwa w wycieczce za kilka koron. -- Drugim razem komitety wycieczkowe napewne postąpią rozsądniej w swoim i publiczności interesie.



Aparatem redakcyjnym dla „Nowości Illustrowanych“ fot. W. Lis w Krakowie.

Wycieczka, jakiej jeszcze nie było; Siedmiogodzinna podróż Wisłą z Krakowa do Niepołomic: odjazd uczestników wycieczki na galarach o 9-tej rano z pod Wawelu.

Zbrodnia za zbrodnią

Sensacyjna powieść kryminalna.

11 Przerobił J. R. Ciąg dalszy.

I rzucił jej list, który ona mechanicznie rozpieczętowała. Brzmiał on jak następuje:

„Robercie, odchodzę od ciebie, aby już nigdy nie wrócić. Nie kochałam cię nigdy i nigdy kochać cię nie będę. Cała moja dusza rwie się do innego, aby cię więc nie oszukiwać i nie być ciągle obłudną, opuszczam cię, idąc w ramiona kochanka. Wierzaj mi, że to dla nas obojga będzie najlepiej.

Erna“.

Jak oszołomiona patrzyła na to pismo, poczem ozwała się spokojnie:

— Kto ci przyniósł ten list?

— Poczta, a któżby?

— A więc ja, twoja żona, powiem ci, że cały ten list jest jednem ohydnem kłamstwem. Nigdy i nigdzie takiego listu nie pisałam!

I drżąc cała ze wzruszenia opowiedziała mu o swojem porwaniu, jak ją trzymano w niewoli i jak dopiero wczoraj udało się jakiemuś człowiekowi uwolnić ją od strasznej kaźni

Ale hrabia Pardua grał dalej wzorowo rolę oszukanego małżonka, tak, że najbardziej nawet rutynowany aktor nie byłby mu dorównał.

— Ja ci mam wierzyć, chociaż widzę, że list pisany jest twoją ręką? Komużby to wpadło na myśl pisać taki list? Słyszałem już, że miałaś skłonność do doktora Stürmera, zdradziłaś się z tem sama na śnie; jednak nie zwracałem na to uwagi, bo rzeczy, jakie jeszcze zaszły przed ślubem, męża nic nie obchodzą. Ale teraz nosisz moje nazwisko, dumne nazwisko, a ja nie zniosę, aby je skalano. Tyś je skalała, a że mimo to miałaś odwagę powrócić do mnie, tego zupełnie nie pojmuję. Nie przypuszczałem nigdy, że ty mnie, mnie, którym cię kochał całą duszą, którym cię na rękach nosił, tak haniebnie zdradzisz. Oh! — zawołał boleśnie, kryjąc twarz w dłoniach — nie przypuszczałem nigdy, że takie anioły tak strasznie łgać potrafią!

Oniemiała patrzyła Erna na niego, wreszcie ozwała się:

— Nie wystarcza ci, jeśli ja ci mówię, że w tem niema ani słowa prawdy? Komu zależało na tem, aby mnie w ten sposób zbeszczeszczać, tego nie wiem, ale mogę ci przysiądz, że ci nie złamałam wiary małżeńskiej. Kochałam doktora Stürmera, tak, ale nigdyś mnie o to nie pytał. Boli mnie, że uważasz mnie za zdolną do tego, abym cię bez twej wiedzy opuściła i oszukiwała. Dla mnie małżeństwo jest rzeczą zbyt świętą. Przed Bogiem przysięgłam ci wierność i wierną ci pozostanę.

Hrabia roześmiał się brutalnie.

— Może cię kochanek odepchnął?

Ale krew mu przestała krążyć w żyłach, kiedy spostrzegł tuż przed sobą Ernę. Podobna do zranionej sarny, drżąc przybiegła do niego i z trudem wyrzekła:

— Ty to mnie mówisz?... Te słowa, Robercie, zrywają wszelkie więzy, jakie nas łączyły. Powiedziałam ci, że jestem niewinną, że list ten jest sfałszowany, a człowiek, który mnie wyratował, może ci potwierdzić prawdziwość moich słów. Ale, zdaje mi się, że dlatego na mnie tak nastajesz, aby zatuszować swoją niewierność!

Podniósł na nią oczy, doskonale udając zdziwienie.

— Dziwisz się? — ciągła dalej Erna. — W takim razie powiedz mi, co to za jedna, ta rudowłosa, która się przedstawia za twoją żonę i każe sobie oddawać honory pani domu, mnie tylko należne?

Hrabia stracił spokój i równowagę, bo zbladł jeszcze bardziej.

— Tego Ilona nigdy nie robiła — rzekł. — Jest to kuzynka po moim nieboszczyku bracie; samotna, nie mając nad sobą żadnej opieki, przybyła do Niemiec, aby u mnie znaleźć chwilę spokoju. Że uchodziła tutaj za moją żonę, to łatwo wytłómaczyć, bo służba nie mogła sądzić inaczej, widząc ją przy moim boku. Ale, zaczekaj chwilkę. Zaglądnę do sali balowej; wrócę tu za chwilkę.

Na ustach Erny pojawił się gorzki, bolesny śmiech. Więc on musiał iść do gości, mając ją u siebie!

Zamek Schleinitz należał do jej ojca i ona była jedyną jego właścicielką. Przybywszy doń niespodzianie, zauważyła zdumienie na twarzach wszystkich. Co ją jednakże teraz jeszcze czekało?

Opanowała ją niema rozpacz. Mężowi nie wierzyła ani słowa, wiedziała zbyt dobrze, że ją oszukuje. Stanęła przy oknie i czekała, nie zdejmując nawet okrycia, bo w pokoju było porządnie zimno. Jedna myśl wirowała w jej mózgu: Co będzie teraz, kiedy go spotkałam prawie w objęciach nałożnicy?

Po chwili usłyszała, że goście powoli się rozchodzą. Raz wraz odzywały się dzwonki u sanek, zwiastując, że goście odjeżdżają, czuć było jednak w tem wszystkiem jakiś niezwykły pośpiech, jakieś bojaźliwe przeczucie, jakie nimi owładnąć musiało. Serce zabiło jej gwałtownie, kiedy usłyszała zbliżające się ku drzwiom kroki. Wiedziała, że za chwilę miał do niej wrócić Robert, ale dziwnie się czegoś obawiała.

Naraz drzwi się z impetem otworzyły, a w progu ukazał się hrabia Pardua, za nim zaś — jego kochanka.

ROZDZIAŁ XIX.

W jaskini zbrodni.

Wieczór, po przedstawieniu w cyrku, klown Barrison zaczął się niezwykle starannie ubierać. Upudrował na biało swój czerwony nos, podczernił brwi, wogóle chciał się zrobić ładnym, bo chciał się spodobać — Ernie. Nigdy w życiu nie klął tak natury za to, że go nie stworzyła ładnym, jak obecnie, kiedy mu chodziło o zdobycie czarownej hrabiny.

Doróżką dojechał na ulicę Kanałową i tam wysiadł, chociaż do starego młyna było jeszcze kawał drogi, ale zrobił to przez ostrożność, ażeby nawet dorożkarz nie wiedział, dokąd iść zamierzał.

Wchodząc do młyna, już wyobrażał sobie, jak to cudownie wyglądać będzie, kiedy w dzikiej, oszałamiającej żądzy uściśnie w swych ramionach przepiękną Ernę.

Nie pukając wcale, wszedł odrazu do Wildingowej, która, zobaczywszy go w drzwiach, skoczyła, jak oparzona, na równe nogi.

— No, no, cóż się stało, że się na mnie gapicie, jak wół na malowane wrota — zapytał. Ale w tej chwili uczuł, że mu coś gardło ściska, jakby w przeczuciu czegoś złego.

— Wasza dama uciekła! — rzekła stara.

— Co gadacie? — wrzasnął i podszedł ku niej, wlepiając swe wściekłością dyszące oczy w jej żółkłą, zwiędłą twarz.

— Cóżem ja winna? — Trzeba było nie wtajemniczać tego łotra Huhlego!

Klown chwycił ją w swe silne ręce, aż stara syknęła z bólu.

— Więceście razem z Huhlem ubili interes! Czekajże, wiedźmo, już ja ci to popamiętam.

I zaczął ją dusić z wściekłości, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co robi. Twarz mu zbladła, jak płótno, tylko nos stał się jeszcze czerwieńszy, jak zazwyczaj, a z piersi dobywało się głuche chrapanie, jak jęk ranionego śmiertelnie zwierza.

— Puszczaj, puszczaj! — ryczała stara — jeszcze ci się przydać mogę.

A kiedy uwolnił ją z żelaznego uścisku, szeptała:

— Huhle, sama nie wiem, jak się do niej dostał, ale się dostał wczoraj w nocy. Złapałam go razem z nią na dziedzińcu, ale grzmotnął mną tak wściekle o ziemię, że mnie do teraz kości bolą.

— Do krocset tysięcy dyabłów! — klął Jasiek Barrison — co na to wszystko powie Ilona?

I wzburzony wybiegł na dziedziniec.

— Dyabli nadali! Moja Ilonka czuła się już tak bezpieczną w swojem gniazdku, a niechże teraz wróci do pałacu żona Parduy! Toć ona jest przekonana, że Erna nie żyje! Niech to piorun strzeli! Ilona mi da po gębie, jak się o tem dowie. Ale muszę się naprzód o wszystkiem dowiedzieć.

Wściekły sam na siebie udał się na ulicę Ogrodową, ale zobaczył, że w pałacu Solmsów w żadnem oknie nie było światła. Na drugi dzień dopiero dowiedział się, że hrabiostwo sprzedali pałac wraz z całem urządzeniem i wyjechali do swego zamku. Poszedł więc natychmiast do cyrku, wystarał się o kilkudniowy urlop i najbliższym pociągiem, to znaczy wieczorem, wyjechał do Schleinitz. Miał lepsze szczęście, jak Erna, bo na stacyce znalazł sanki, które go zawiozły aż pod samą bramę zamkową.

Było to tegosamego wieczora, kiedy młoda hrabina tak niespodziewanie zjawiła się w sali balowej.

Stanąwszy przed zamkiem, Barrison zaczął się namyślać, w jakiby sposób dać znać siostrze o swej obecności. Kiedy tak stał, oparty o mur, wpadł mu w oczy jakiś człowiek, wsparty o olbrzymi buk i zapatrzony bezmyślnie w żółtą twarz księżyca. Chrząknął więc znacząco parę razy, ale mróz mu przeszedł po kościach, kiedy w świetle księżyca zobaczył twarz nieznajomego.

— Huhle, ten nędznik — wybuchnął wściekły — co on tu robi w Schleinitz?

Jak błyskawica rzucił się na niego i chwycił go z taką brutalną siłą za kołnierz, że Huhle aż krzyknął z bólu.

— Mam cię nareszcie, nędzniku! — zawołał. — Czego ty tutaj szukasz?

Biedny Huhle drżał ze strachu na całem ciele, zaczął też opowiadać szczerą prawdę, bo nawet w rzeczywistości nie miał czasu wymyślać kłamstwa, tak nagle wpadł nań Barrison.

— Pomyśl jeno, że mógłbym był zarobić ładny pieniądz — kończył Huhle, usprawiedliwiając się. — Za odnalezienie tej kobiety wyznaczona była nagroda w sumie dwóch tysięcy marek, a to przecie ładny grosz dla takiego biedaka, jak ja.

— Osioł jesteś, kapitalny osioł! — wściekał się klown. — Gdzież masz te pieniądze? co? Może myślisz, że moja siostra pozwoli sobie i nadal tak w kaszę dmuchać? Sądziłem, że znasz ją zbyt dobrze. A że ja sobie nie pozwolę pluć w oczy przez ciebie, o tem możesz być przekonany!

— Cóż ma z tem wspólnego piękna Ilona? — zapytał Huhle zdumiony.

— Jeżeli już znasz część mojej tajemnicy, to powiem ci i resztę, ale jeżeli tylko komu piśniesz słówko o tem, to ci kark skręcę!

— Ale, cóż znowu?! — uniewinniał się Huhle.

— No, no, już dobrze. Zanadto cię znam, mój kochany. Gdybym ci ja obiecał talara za milczenie, a ktoś inny dał ci dwa talary, to zdradziłbyś własną matkę i posłałbyś ją na szubienicę!

— Ależ ja niemam wcale matki! — bronił się Huhle.

— Rozumiesz mnie chyba; to było tylko porównanie, ale ostrzegam cię raz jeszcze: każde twoje słowo ma wagę złota!

I opowiedział Huhlemu cały ohydny plan swojej siostrzycy, zmierzający do sprzątnięcia Erny ze świata.

— Tyś nas wpakował w kabałę — kończył — pomóżże nam teraz wygrzebać się z niej.

— Cóż ja mam zrobić? A zresztą ja także potrzebuję pieniędzy.

— Ilona ci da — odparł klown. — Teraz musze spróbować, czy mi się nie uda posłać przez którego ze służących karteczki do mej siostry. Musimy się z nią naradzić, a ona już coś dobrego wymyśli.

— Ja mam stanąć przed Iloną? — przestraszył się Huhle — nie i jeszcze raz nie, wolałbym pójść do piekła raczej! Przecież jak ona się dowie, że ja jej cały plan popsułem, to mi bez gadania kark skręci!

— Przesadzasz! Jak się Ilona dowie, że od tej chwili należysz do nas, to ci już przebaczy twoją głupotę.

Tak rozmawiając doszli do parku i stanęli tuż przy małej kapliczce, którą klown dopiero teraz zauważył.

— Zostań tutaj na razie; poślę siostrze przez służącego list z prośbą, aby po zabawie przyszła tutaj do kapliczki, to odbędziemy tu generalną naradę.

Odszedł. Minęło dobre dwie godziny, kiedy powrócił i znalazł byłego baletmistrza śpiącego na ławce. Zbudził go zaraz, bo mu jakoś nieswojo było w tem posępnem miejscu.

Długo jeszcze musieli czekać, zanim się zjawiła Ilona, która przyszła, kiedy już świt szarzał na niebie. Zobaczywszy Huhlego zawrzała gniewem i syknęła:

— Dziękuję ci, łotrze, żeś mi takiego piwa nawarzył!

— Daj pokój kłótni — przerwał jej Jan — nawarzył piwa, ale je chce przynajmniej wypić razem z nami. Zdaje mi się, że teraz trzeba radzić, a nie kłócić się. Cóżeście zrobili z hrabiną? — zapytał gorączkowo.

— Wart jesteś batów — rzuciła się nań Ilona. — Gdybyś był tak zrobił, jak ci kazałam, tobyś się nie ovtał, co ja z nią teraz zrobiłam. Z gustem bym ci dała po gębie! Cośmy z nią zrobili, pytasz? Uspokoiliśmy ją, jakeśmy mogli; ja się przedstawiłam jako szwagrowa hrabiego, ale ona

temu nie bardzo wierzyła, przynajmniej tak mi się zdawało.

Nachyliła się i szepnęła bratu do ucha:

— W trzech dniach musimy ją zgładzić ze świata!

Potem zwróciła się do Huhlego:

— Kiedy już wiesz o wszystkiem, to ostrzegę cię raz jeszcze, żebyś się przed kim nie wygadał. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, a będziesz szedł z nami, to ci wypłacę trzy tysiące marek gotówką. A teraz, mój Jaśku, przyszła mi myśl, ale powiadam ci wspaniała! Sam się zdziwisz!

— No, no, mów.

— Słuchajże, jest jeszcze u was w cyrku słynna poskramiaczka wężów, Jumbo?

— Jest, ale na cóż ci ona? — spytał brat oszołomiony.

— No widzisz, jakiś ty jeszcze głupi! Nastaw więc uszy, żebyś ani słowa nie stracił — i zaczęła mówić coś przyciszonym głosem, tak, że ją tylko obaj mężczyźni mogli zrozumieć. Jasiek Barrison aż zbladł ze wzruszenia.

— Więc chcesz, żebym Jumbie skradł indyjską żmiję?

— Tak jest; ale teraz idźcie, oddalcie się. Za trzy dni musi już być po wszystkiem, rozumiecie? Każdy z was dostanie 3.000 marek, ale teraz odejdźcie — nagliła ich.

I jak wąż prześlizga się przez liście, tak przesunęła się Ilona przez park i pospieszyła do zamku. Nie zauważyła nawet, że w jednem z okien na pierwszem piętrze biedna hrabina przyciskała do zimnych szyb bladą swą twarzyczkę.

ROZDZIAŁ XX.

Spadek po stryju.

Wróćmy się teraz do salonu Stürmerów, zamienionego na pokój żałobny.

Nieznajomy wpatrzył się w twarz zmarłej wzrokiem, pełnym niewypowiedzianego bólu.

— Jaka ona piękna — szeptał — o wiele piękniejsza od tej, jaką na obrazku widziałem. I musiałem ją znaleźć nieżywą! Czyż na tym spadku ciąży klątwa Boża, że zawsze ten, który go ma odziedziczyć, umiera? Biedna, nieszczęśliwa kobieto, tyś tu nędzę cierpiała i biedę, a ja cię szukałem, chcąc ci oddać majątek, tobie się należący!

Odwrócił się od trupa, jak złamany i podszedł ku lekarzowi, który nań patrzył zdumiony.

— Zaprowadź mnie, Adolfie, do swego gabinetu — rzekł zdławionym głosem — i pozwól, że ci się wyspowiadam.

Znużony oparł się na ramieniu lekarza i poszedł z nim do jego pokoju. Usiadł na niskiej kozetce, a Stürmer obok niego na krześle.

— Widzę — zaczął nieznajomy — że nie możesz zrozumieć mojego zjawienia się i zachowania. Kiedy cię przypadkiem spotkałem dzisiaj na ulicy i usłyszałem od ciebie o dziwnej, młodej kobiecie, którą śmierć dzień przedtem zabrała z tego świata, nie wiedziałem jeszcze, że tę kobietę znam. Dopiero kiedyś mnie zaprowadził do katafalku i powiedział mi, że pochodzi z dobrej rodziny, że jest córką zmarłego już pastora z Welzendorfu, opanowało mnie dziwne przeczucie. A kiedym spojrzał w jej woskowo bladą twarz, zrozumiałem wszystko: była to kobieta, której tak energicznie od dawna szukałem.

Przed sześciu laty, jak wiesz, uścisnąłem ci po raz ostatni rękę. Wyjeżdżałem wtedy na dalsze studya do Ameryki. Przypadek zrządził, że poznałem wtedy pewnego ciekawego jegomościa, którym był — stryj zmarłej. Zwrócił mi na niego uwagę jeden z moich przyjaciół, z zawodu adwokat. Spotkałem go właśnie, kiedy szedł do jednego ze swych klientów; wtedy to opowiedział mi, że klient ów wygrał właśnie proces, w którym chodziło nie o mniej ani więcej, jeno o trzy miliony!

— Biedaczysko — mówił adwokat — przez całe życie czekał na ten spadek, a teraz bardzo możliwe, że w chwili, w której mu doniosę, że go otrzymał, dni jego będą już policzone.

Tragiczna ta historya wywarła na mnie wrażenie, czemu się zresztą nie będziesz dziwił. Poszedłem więc razem z nim do tego szczęśliwego biedaka.

Już zdaleka słyszeliśmy przez okno suchy jego kaszel, wiedzieliśmy więc przynajmniej, że jeszcze żyje. Drzwi otworzyła nam jakaś szpetna baba, a kiedyśmy weszli do pokoju, oczom moim przedstawił się ciekawy widok. Na brudnem, łachmanami zapełnionem łóżku tarzał się z bólu, jaki mu pierś rozsadzał, blady, wychudzony człeczyna, o twarzy mimo wszystko ogromnie interesującej. Widziało się po jego oczach, że posiada zupełną świadomość swego stanu, widziało się, że kiedyś musiał to być mężczyzna silny duchem i piękny ciałem. Nie był już młodym, ale górne myśli rysowały się na jego dumnem czole, na którem błyszczał już kroplami śmiertelny pot.

To był spadkobierca onych trzech milionów, które otrzymał w nieszczęśliwy sposób już — zapóźno.

Wszedłem z adwokatem do pokoju nieszczęśliwego i zamknąłem drzwi za sobą. Suchotnik podniósł się z barłogu i wpatrzył się we mnie szeroko rozwartemi oczyma. Prawdopodobnie od długiego, od bardzo długiego czasu nie widział przy sobie przyjaznej twarzy ludzkiej. Serce mi się ścisnęło z litości nad biedakiem. Nie patrzyłem już na nędzę, jaka go otaczała, a on tymczasem, zdaje się, skupił całą uwagę na mnie, bo wśród ciągłych napadów kaszlu, jaki mu pierś podnosił, widziałem wzrok jego, ciągle mnie ścigający i zawsze wtedy koło ust jego błądził cichy, błogi uśmiech.



...Czyż na tym spadku ciąży klątwa Boża, że zawsze ten, który go ma odziedziczyć, umiera?...

— Pan się nazywasz Chrystyan Schmid? — spytał cicho adwokat.

— To ja jestem — odparł słabo chory. — Ja się nazywam Chrystyan Schmid, byłem niegdyś uczonym, wiodło mi się dobrze, a teraz muszę umierać w nędzy i opuszczeniu, biedny, nie mający nikogo na świecie żebrak.

— Cóż znowu! — zawołał adwokat, chcąc dodać otuchy nieszczęśliwemu, któremu, sądząc po jego wyglądzie, nie pozostawało już dużo życia. — Masz pan przecie przyjaciół, a biednym pan także nie jesteś. Długo czekałeś pan na pomoc, ale nareszcie jej się doczekałeś. Przyszliśmy tutaj, aby panu przynajmniej ostatnie dni życia rozsłonecznić, jeśli już nie uda się nam uzdrowić pana zupełnie.

— Mnie tylko śmierć może przynieść uzdrowienie — zdawał się mówić chory zrezygnowanym ruchem ręki.

— Nie masz pan żadnego życzenia, którebyśmy panu mogli spełnić? — zapytałem.

— Ach — westchnął chory — chciałbym widzieć przy mojej śmierci jakieś dobre, przyjacielskie oblicze, chciałbym czuć na mej twarzy przyjazny wzrok tylko! Żyję tu od kilku miesięcy, nie słysząc znikąd dobrego słowa; nawet lekarz, który od czasu do czasu do mnie zagląda, jest dla mnie surowy. A ja do takiego obchodzenia się ze mną, do takiego brudu nie jestem przyzwyczajony. Chciałbym oddychać jakąś weselszą atmosferą, dokonać życia na innem, piękniejszem jakiem miejscu.

— Więc spełnij pan swe życzenia! — zawołał adwokat w szlachetnym zapale. — Jeżeli panu tylko siły na to pozwalają, to pana zaraz stąd wyniesiemy. Co można zrobić pieniądzmi, to zrobimy. Nabierz pan otuchy, proszę pana; przychodzimy wprawdzie późno, ale nie z próżnemi rękoma.

Zdawało się, że nagłe wzruszenie wzmocniło siły chorego.

— Kimże pan jesteś? — szepnął bezdźwięcznym głosem — i dlaczego pan mówisz do mnie z taką dobrocią?

— Jestem adwokat Hansen. Oddałeś mi pan przed laty pewną sprawę — a to — rzekł, wskazując na mnie — to mój przyjaciel inżynier Paweł Winkelman. Przyjmij pan od nas najserdeczniejsze współczucie.

— Ależ pan mówi o pieniądzach, których ja nie mam — dalsze słowa przerwał mu gwałtowny suchotniczy kaszel.

— Nie zawsze człowiek wie, co posiada — odparł spokojnie adwokat. — Czasem jesteśmy przekonani, że nie mamy nic, a tu naraz zsyła na nas Opatrzność bogactwa. Pan masz więcej, niż pan potrzebujesz.

Zdawało się, że biedaczysko ożył na nowo; myślałem już, że chce wstać z łóżka.

— Co ja słyszę? O jakich bogactwach pan mówi? Więc tu nie chodzi o jałmużnę, ale o pieniądze, o prawdziwe pieniądze, prawnie mi się należące? Czyżby mój proces się skończył? — pytał gorączkowo.

Nie mieliśmy odwagi powiedzieć mu wszystkiego, bojąc się, żeby wrażenie, jakie nasze słowa musiałyby wywrzeć na niego, nie stało się dlań zabójczem. Uśmiechnęliśmy się więc tylko przyjaźnie, co nie uszło jego uwagi.

— Zdaje mi się, że się nie pomyliłem — rzekł. — A więc nareszcie, po tylu latach, sprawa się rozegrała! Ale — dodał zaraz, a głowa opadła mu na piersi — to mi już nie da szczęścia, pieniądze przydadzą się jeno na opłacenie kosztów pogrzebu.

— Co pan mówisz o pogrzebie? — zauważył mój przyjaciel — takie szczęście dodaje nowych sił!

— Za późno, za późno! — odparł słabo. Ramiona, które był podniósł ku niebu, opadły mu na kołdrę, głowa spoczęła jakby w omdleniu na poduszkach, tylko w oczach jaśniała mu jakaś błoga, szlachetna myśl.

— Wiedziałem o tem — rzekł wreszcie — prawo było po mojej stronie, ale zwątpiłem już, czy sądy mi je przyznają. Ach, gdybym przynajmniej miał jeszcze dwa dni, a choćby dzień życia przed sobą!

Przerwał mu adwokat pytaniem:

— Masz pan może jakich krewnych?

— Żyje jeszcze córka mego brata, który był dawniej pastorem w Welzendorfie.

Ale, jakby nie chciał o tem mówić, zwrócił się zaraz do mnie.

— Winienem nawet jeszcze za mieszkanie. Czyby pan nie zechciał może zapłacić czynszu mojej gospodyni i nie tylko czynszu, ale ile zażąda. Może wtedy przestanie się ze mną w ten sposób obchodzić i nie będzie mi więcej przynosić takiej zimnej herbaty.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Po co przyjechał.

Dużo rumoru w kołach politycznych i wojskowych narobiła wizyta Moltkego w Wiedniu. Po co ten Prusak przyjechał do Austryi, pytano. Dzienniki wreszcie wyperswadowały zaniepokojonej opinii, że Helmuth von Moltke przybył z Berlina bynajmniej nie w celach politycznych. Przyjechał zaś do Wiednia jedynie po to, by się przedstawić sędziwemu baronowi Beckowi jako nowo mianowany szef generalnego sztabu armii niemieckiej i złożyć mu z okazyi półwiekowego jego jubileuszu swoje życzenia w imieniu pruskiego sztabu generalnego. Z Wiednia udał się Moltke do Bruck na manewry wojsk austryackich, dokąd zaprosił go sam cesarz.



Po co przyjechał: Bawiący na manewrach wojsk austryackich w Bruck, nowomianowany szef generalnego sztabu pruskiego, Helmuth von Moltke.

Kółko dramatyczne handlowców w Warszawie.

Wśród Stowarzyszenia pracowników handlowo-przemysłowych w Warszawie wytworzylo się od dłuższego już czasu Kółko dramatyczne amatorskie; pod artystycznym kierunkiem i reżyserą p. K. Hofmana, daje ono co pewien czas przedstawienia bardzo uczęszczane, ileże dochód z nich przeznaczany bywa na cele publiczne a powtóre, że dobrze zgrany ten zespół amatorski i wcale liczny, jak świadczy załączona tu illustracya podług zdjęcia fot. p. I. Raczyńskiego — potrafi sprostać nawet poważniejszym zadaniom sztuki scenicznej. Wśród młodych tych, zapałem dla sztuki przejętych adeptów nie brak i większych zdolności, talentów nawet, z których niejeden może w tej dobrowolnej szkole przygotowawczej dojrzeć na pożytek sceny polskiej.

Gospodarzem tego zwartego Kółka jest również wolentarz inż. p. Ożarowski, którego gorliwości i zabiegliwości zawdzięczają szlachetne usiłowania „Kółka dramatycznego“ niejedno powodzenie, niejeden większy dochód na cele publiczne.

Nadchodzące lato przerywa zwykle działalność Kółka w dotychczasowym jego składzie, jaki widzimy na illustracyi, a rozpoczynający się jesienią nowy sezon sprowadza zmiany, zasilając dawne kadry nowymi adeptami. *B-t.*

Młodzież z Brzeżan i Tarnopola w Krakowie.

I znowu jedna wycieczka studencka, tym razem z ostatnich kresów wschodniej Galicyi, z Tarnopola i Brzeżan. Przybyła w ubiegły czwartek do podwawelskiego grodu, ożywiona tem podniosłem dążeniem do poznania pamiątek ojczystych, pragnąca odetchnąć polskością w tem mieście, nad którem króluje w potężnym majestacie żałoby Wawel, kryjący w swoich podziemiach „prochy naszych królów, symbole naszej wielkości i bólów“; przybyła, aby w tej krynicy narodowego ducha zaczerpnąć sił do dalszej walki, do pracy żmudnej i trudnej, jaka Polaków czeka na wschodzie Galicyi.



Inne czasy w Petersburgu: Następca Lambsdorfa, nowy minister rosyjski spraw zagranicznych, Izwolskij.

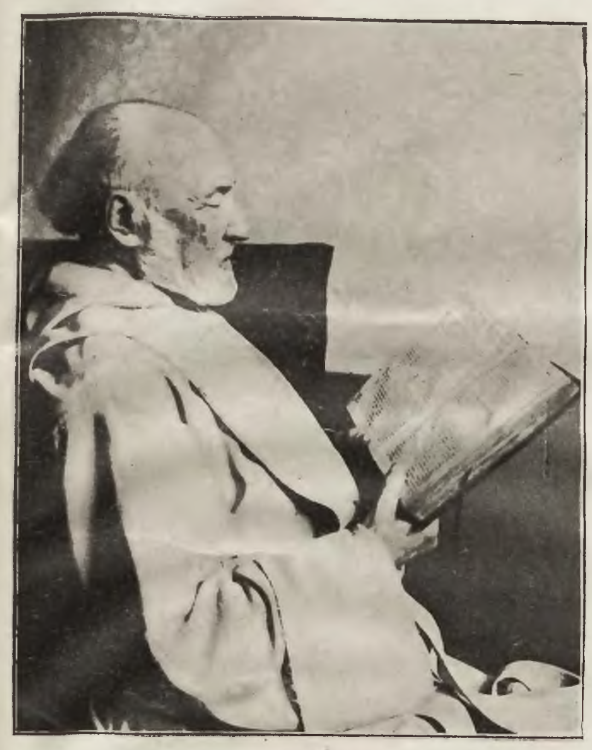
Na czele wycieczki uczniów z Brzeżan i Tarnopola, stoją profesorowie Steiner i Kalinowski. Oni zaaranżowali wycieczkę i przybyli z nią do Krakowa. Na peronie przywitała uczniów tarnopolskich i brzeżańskich, delegacya gimnazyum św.



Fot. dla „Nowości Illustr.“ Raczyński w Warszawie.

Kółko dramatyczne handlowców w Warszawie: Grupa amatorów i amatorek należących do kółka dramatycznego w Stowarzyszeniu pracowników handlowo przemysłowych w Warszawie.

Anny ze sztandarem i muzyką. Przy dźwiękach orkiestry udała się młodzież na wstępie pod pomnik Mickiewicza, gdzie złożono hołd wieszczowi. Następnie rozpoczęło się zwiedzanie kościołów, zamku królewskiego, muzeów i wogóle całego miasta, w którem każdy prawie kamień kryje w sobie wspomnienia z dawnej potężnej chwałą i świetnością przeszłości. W piątek popołudniu o godz.



Bielany bez Kamedułów: Ostatni Ojciec Kameduła, ks. Marczewski, który opuścił klasztor na Bielanach pod Warszawą, gdzie do niedawna jako jedyny już pustelnik błogosławił stutysięcznym rzeszom pielgrzymów w Zielone święta.

czwartej udali się uczniowie do sali wykładowej w Colegium physicum uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie uproszony przez dyrekcyę p. Władysław Grodzicki, mechanik uniwersytetu, eksperymentował skraplanie powietrza aparatem prof. dra K. Olszewskiego. P. Grodzicki pokazał cały szereg bardzo interesujących doświadczeń ze skroplonem powietrzem, udzielając bliższych wyjaśnień. Uczniowie, którzy podobnych eksperymentów fizycznych w słabo wyposażonych gabinetach gimnazyalnych widzieć nie mogli, przypatrywali się doświadczeniom z nadzwyczajną uwagą, a po demonstracyach w najserdeczniejszych słowach podziękowali za nie razem z profesorami p. Grodzickiemu. W sobotę po południu młodzież z wschodnich kresów wyjechała do Wieliczki, gdzie zwiedziła wspaniałe saliny, poczem odjechała z powrotem do domu, unosząc w młodych sercach niezatarte wrażenia z pobytu w krakusowym grodzie.

Na załączonej obok illustracyi podajemy grupę młodzieży z Tarnopola i z Brzeżan z profesorami Steinerem i Kalinowskim pośrodku, zdjętą na dziedzińcu Collegium physicum po demonstracyach ze skroplonem powietrzem.

Bielany bez Kamedułów.

Stotysięczne rzesze, które tradycyjnym zwyczajem nawiedzać będą i w tym roku urocze Bielany pod Warszawą, nie znajdą tam już Kamedułów, nawet tego jedynego ostatniego, który im jeszcze zeszłego roku błogosławił.

Był to jak gołąb biały O. ks. Marczewski, którego podobiznę tu zamieszczamy.

Siedział zawsze milczący, na oko ponury w zakrystyi, od której szarych, odrapanych ścian odbijał świetlany biały habit zakonny.

Rozjaśniała się twarz pustelnika zawsze, ilekroć matka jakaś przystępowała z dziećmi prosząc o błogosławieństwo...

Dziś starzec znużony osamotnieniem, złamany wiekiem, spędza dni podeszłej starości w jednym z zasobniejszych przytulisk, na rozpamiętywaniach i modlitwie czytanej z dawnej książki klasztornej..

Echo tej szeptanej drżącemi już usty modlitwy starca, odezwie się żywem wspomnieniem pod wyniosłemi sklepieniami kościoła na Bielanach i połączy z modlitwą stutysięcy ust o lepszą, jaśniejszą przyszłość... *B-t.*

Przyszły papież.

Portret duchownego, który widzą tu Czytelnicy, przedstawia kardynała Merry del Val. Jest to sekretarz stanu, który trzęsie sprawami Watykanu w imieniu Piusa X. Na poprzedniem konklawe należał on do najpoważniejszych kandydatów na godność Namiestnika Piotrowego. I dziś wtajemniczeni widzą w nim przyszłego papieża.

Ten to właśnie kardynał ma obecnie udzielić ślubu młodemu królowi hiszpańskiemu Alfonsowi XIII-mu z piękną księżniczką Battenberską, w której żyłach płynie, jak wiadomo, część krwi polskiej.

Wizyta pasterska w Kaliszu.

Niedawno powitał Kalisz w swych murach świątecznie przybranych, pasterza dyecezyi kujawsko-kaliskiej przew. JE. Biskupa ks. Zdzitowieckiego.

Dyecezya to „zdrowa“, gdyż na całym jej wielkim obszarze nie ma ani jednego „mankietnika“ czy „Maryawity“ tak wśród kleru jak ludu.

To też wizyta pasterska ks. Zdzitowieckiego w Kaliszu była jakby naocznem stwierdzeniem tej spójni religijnej, tej łączności duchowej, tej miłości w zdrowej owczarni, która łączy ją z ukochanym Pasterzem i wiąże w jedną całość.

Wyrazem tego zewnętrznym a i pamiątką drogocenną z odwiedzin pasterskich to podana na str. 2 illustracya podług zdjęcia fot. Bisettiego, przedstawiająca JE. Biskupa ks. Zdzitowieckiego w licznem gronie duchowieństwa, od osiwiałych kanoników, prałatów począwszy, na wikarych skończywszy.

Właśnie wśród tych ostatnich krzewi się i kwitnie duch wzniosłych wzorów życia religijnego i pracy dla kościoła poświęconej. Dane przyrze-



Przyszły papież: Sekretarz stanu w Watykanie, kardynał Merry del Val, który ma udzielić ślubu królowi hiszpańskiemu z księżniczką Battenberską.

czenie nie pozwala nam wymienić wśród nich jednego z takich, który własnemi zabiegami uzbierał większy fundusz składkowy i sumptem tym doprowadził do pięknego odmalowania wnętrza kościoła katedralnego św. Józefa, w stylu zbliżonym do Matejkowskiego w kościele Maryackim w Krakowie.

Nieszczędził też ks. Biskup swego pasterskiego błogosławieństwa zacnemu klerowi i wiernej swej owczarni, która dni pobytu Pasterza liczyć będzie do owych nieczęstych dziś jasnych pogodnych a więc niezapomnianych. *B-t.*



Fot. dla „Nowości Illustr.“ aparatem redakcyjnym W. Lis.

Młodzież z Brzeżan i Tarnopola w Krakowie: Studenci szkół średnich z Brzeżan i Tarnopola uczestniczący w wycieczce naukowej do Krakowa i Wieliczki.

Straszak parlamentarny.

Podajemy dziś Czytelnikom portret jednego z tych posłów z Izby deputowanych w parlamencie austryackim, którego mowy, jako istne sensacye, a zarazem niby humoreski, czytuje się pilnie w dziennikach za każdym razem w sprawozdaniach



Straszak parlamentarny: Słynny mowca parlamentarny w austryackiej Radzie państwa, poseł hrabia Sternberg, którego mowy budzą zawsze sensacyą.

z Rady państwa. To hrabia Sternberg, z którym prezydent Izby ma zawsze dużo kłopotu, ponieważ podczas jego mowy musi co chwila dzwonić, przerywać mu, a najczęściej głos mu wreszcie odbierać, jak przed kilku dniami np. na owem posiedzeniu burzliwem przy dyskusyi w sprawie zajść ulicznych przed parlamentem, kiedy to policya wiedeńska skonfiskowała demonstrantom sztandar czarno-żółty. Nie wątpimy, że Czytelnicy nasi byli ciekawi przypatrzeć się, jak też wygląda taki hrabia-krzykacz, będący postrachem Izby poselskiej.

Wiedeńscy kolejarze naszymi gośćmi.

Wśród wielu wycieczek, jakie w ostatnim tygodniu nawiedziły Kraków, znaleźli się i Niemcy. Przybyło mianowicie liczne grono urzędników kolejowych z Wiednia, z Florisdorfu i Jedlesse pod Wiedniem; byli tam urzędnicy ministeryalni, byli funkcyonaryusze różnych rang i z kolei państwowych i z prywatnych, z kolei Północnej, Południowej itp.; wszyscy należący do Związku urzędników kolejowych. Wycieczka, licząca około 200 osób, w czem 50 pań — żon i córek urzędników, zwiedziła najprzód Saliny w Wieliczce, a potem co najważniejsze osobliwości historyczne Krakowa, które w wysokim stopniu interesowały obcych podróżnych, oprowadzanych i objaśnianych przez kolegów z pośród krakowskich kolejarzy. Kiedy dwie grupy tej wycieczki wychodziły z katedry na Wawelu, zdjęliśmy je dla „Nowości“.

Prawdziwy Marszelik.

Po Warszawie i Lwowie — Kraków ma teraz sposobność ocenić nadzwyczajną kreacyę Marszelika w „Małce Szwarcenkopf“. Po raz może trzechsetny wystąpił przed tygodniem w tej roli pan Stanisław Modzelewski, były artysta scen poznańskiej i lwowskiej, dziś stały współpracownik teatru ludowego w Krakowie. P. Modzelewski włada wyśmienicie żargonem, a ponadto do złudzenia oddaje prawdziwie typ swata i mistrza ceremonii na weselu żydowskiem. Publiczność, zebrana w Ujeżdżalni rozbrzmiewała co chwila wybuchem homerycznego śmiechu, gdy z hukiem i krzykiem wpadł na scenę Marszelik i swoim osobliwym, charakterystycznym humorem wypowiadał w żargonie dowcipy weselne. Pan Modzelewski jest do dziś dnia niezastąpionym wykonawcą Marszelika, jak o tem zgodnie świadczą setki recenzyj, pisanych nie tylko w polskich, ale i rosyjskich a co kompetentniejszych: żydowskich pismach.

Otwarcie przystani wioślarskiej w Kaliszu.

Nietylko wzdłuż Wisły, rzek polskich królowej, rozrosły się i zakwitły gniazda wioślarskie. Spotykamy je pełne życia i ruchu również nad brzegami większych rzek innych jak np. Prosny pod Kaliszem, która tam rozlewnie kilku większemi odnogami przeszywa i opasuje prześliczne to, starożytne miasto, tonące całe w zieleni olbrzymiego parku, poprzerzynanego wodnymi kanałami, nad którymi wznoszą się liczne, jakby w powietrzu zwisające, mosty.

Teren przeto doskonały dla dzielnych wioślarzy kaliskich, którzy przed tygodniem właśnie święcili doroczną uroczystość otwarcia swej przystani już poraz 12-ty z rzędu.



Prawdziwy Marszelik: P. Stanisław Modzelewski, były artysta scen poznańskiej i lwowskiej, obecnie artysta teatru ludowego w Krakowie, w roli Marszelika w „Małce Szwarcenkopf“ Gabryeli Zapolskiej.

Bo tyle lat istnieje tu Towarzystwo wioślarskie liczące przeszło 200 członków, mające w swem łonie dwie sekcye: Koło gimnastyczne, ćwiczące się pod przewodnictwem druha Janaszewskiego b.





Fot. dla „Nowości Illustr.“ aparatem redakcyjnym W. Lis.

Kolejarze wiedeńscy naszymi gośćmi: We drzwiach katedry na Wawelu, grupy uczestników dużej wycieczki urzędników kolejowych z Wiednia.

nauczyciela Sokoła gnieźnieńskiego i „Lirę wioślarską“ tj. chór spiewaczy, z 40 druhów złożony, jeden z najlepszych w Królestwie pod kierunkiem dyr. Horki. Prezesem Tow. powszechnem uznaniem otoczonym jest mec. Józef Radwan, redaktor „Gazety Kaliskiej“ i „Jutrzenki“. Widzimy go na str. 3 w środku grupy wioślarzy kaliskich, zdjętej przez zakład fotograficzny I. Borettiego w uroczystej chwili otwarcia przystani; obok niego prezes Stow. Cyklistów pp. Arnold, naczelnik Gałecki i b. wicepr. wioślarzy p. Dziedzicki. U dołu rozwinięty sztandar z herbem m. Kalisza podtrzymują dwaj dzielni druhowie.

Chwila to właśnie, kiedy dzielni wioślarze po nabożeństwie w odległym prastarym kościółku św. Wojciecha na Zawodziu odbyli stamtąd jazdę 7 dużemi choć lekkiemi łodziami sportowemi do przystani. *B-t.*



Dla „Nowości Illustr.“ fot. amator Ludwik Stankiewicz.

Uroczystość strażacka w Oświęcimiu: Strażacy-jubilaci wraz z delegatem Związku, Reprezentacyą miejską, prezesami i naczelnikami zaproszonych straży ogniowych.

Uroczystość strażacka w Oświęcimiu.

Uroczyste wręczenie honorowych odznak przyznanych przez Krajowy Związek Ochotniczych straży pożarnych we Lwowie, ochotniczej straży pożarnej w Oświęcimiu-mieście odbyło się 27 bm.

Przyznano 7 członkom straży honorowe odznaki, za nieprzerwaną, wierną służbę i tak: p. Wacławowi Gracy za 30 lat, Antoniemu Czernemu za 25 lat, Michałowi Bujarowiczowi, Wojciechowi Ludwinkowi, Janowi Stankiewiczowi, Antoniemu Własińskiemu i Stanisławowi Własińskiemu. Delegatem do wręczenia mianował Związek krajowy p. Antoniego Smieszka. W niedzielę dnia 27 maja cały korpus o 9 tej rano, ze sztandarem i jubilatami, wraz z okolicznemi strażami z Babic, Bobrku i Brzezinki (fabryczna) i Reprezentacyą miejską z burmistrzem na czele, udał się na nabożeństwo do kościoła parafialnego. Z kościoła przy dźwięk kach muzyki wychowanków ks. Salezyanów odbył korpus defiladę przed reprezentacyą miejską i ustawiwszy się w czworobok przed Magistratem, oczekiwał p. Delegata. W pięknie wygłoszonej mowie do jubilatów podniósł p. Delegat znaczenie uroczystości, podniósł jak kraj interesuje się tak pożytecznemi instytucyami i jak śledzi rozwój tychże straży, darząc zasłużonych członków odznaczeniami, prosił członków aby postępowali drogą przyjętego obowiązku i naśladowali w tem czcigodnych jubilatów. Dziękował naczelnikowi p. Janowi Stankiewiczowi za nader wzorowe prowadzenie tejże straży. Tu nastąpiło wręczenie honorowych odznak, wraz z pismem Krajowego Związku. Z kolei zabrał głos naczelnik straży: dziękując p. Delegatowi, życzył członkom straży i jubilatom jeszcze długich lat, a zwracając się do p. burmistrza, w imieniu straży podziękował za przychylne popieranie ze strony zarządu miasta. Następnie naczelnik straży w sali Rady miejskiej zdawał sprawozdanie z 30-letniego istnienia, począwszy od założenia, od roku 1874 aż do dnia dzisiejszego. Ogółem straż czynna była przy 283 pożarach w mieście i okolicy. Korpus obecny liczy 44 członków czynnych.



Dla „Nowości Illustr.“ fot. amator Ludwik Stankiewicz.

Uroczystość strażacka w Oświęcimiu: Wręczenie honorowych odznak strażakom-jubilatom przez delegata Związku, Antoniego Śmieszka.

Ofiara, jakich wiele.

Wkrótce stanie na świeżej mogile pomnik, do którego wykonania dostarczono rzeźbiarzowi zazdrośnie ukrywanej dotąd fotografii, jednej z ofiar, jakich padły setki, tysiące w Warszawie.

Padły za świętą sprawę odrodzenia w duchu wolności, swobody i nieprzedawnionych praw narodowych.

Jednym z takich był młody, 21 lat liczący śp. Franciszek Bieliński, uczeń szkół średnich.



Ofiara jakich wiele: 21-letni uczeń szkół średnich, śp. Franciszek Bieliński, który padł na ulicach Warszawy przeszyty 3 kulami karabinowemi i pokłuty bagnetami.

Wśród srogiej wichury styczniowej, kiedy tak srożyła się bezwzględna reakcya, kiedy roiły się ulice Warszawy od patroli i licznych oddziałów wojskowych, kiedy co chwila przychodziło do starć, zamieszek kończących się echem strzałów karabinowych lub szczękiem bagnetów — padł między innymi i ten pełen nadziei młodzieniec, przeszyty trzema kulami karabinowemi i pokłuty bagnetami.

Kwiatami przykryto pierś zastygłą na posłaniu śmiertelnem — kwiatami, które niech będą wyrazem wiecznej pamięci. *B-t.*

Opóźnione wybory w gubernii warszawskiej.

Dopiero w dziesięć dni po otwarciu Dumy w Petersburgu odbyły się wybory pięciu posłów z gubernii warszawskiej, co przypisać należy późnemu rozpoczęciu i powolnemu prowadzeniu pierwszych prac przygotowawczych.

W poniedziałek przeto, t. j. 11 b. m. zjechali się z całej gubernii do Warszawy wybrani po powiatach wyborcy w liczbie 113, gdyż 114 wyborca dr Karbowski, izraelita wcale nie stanął.

Wynik wyborów stwierdzony próbnem głosowaniem na zebraniu przedwyborczem zapewnił pełne zwycięstwo kandydatom Narodowej Demokracyi.



Duma przeciw rządowi: Poseł odeski Szczepkin, który ostro zarzucał w Dumie rządowi, że nie szanuje ustaw zasadniczych.

W poniedziałek po odprawionej w kościele św. Krzyża solennej mszy św. na intencyę wyborów, zebrali się wszyscy w przedsionku I-go piętra gmachu Tow kred. ziemskiego, gdzie pod przewodnictwem prezesa Tow. M. Krzymuskiego zaczął się akt wyborczy tegoż przemową, a tuż potem deklaracyą złożoną przez 9-ciu wyborców żydów (podpisaną przez jednego z nich po rosyjsku) z oświadczeniem, iż nie mając nadziei wybrania choćby jednego „swego“ posła, zrzekają się udziału w wyborach.

Deklaracyi tej przewodniczący nie przyjął, ile że stwierdzała ona li tylko prawidłowo obraną większość liczebną wyborców katolików, odpowiadającą życzeniom prawyborców i liczbie rozsiedlenia żydów po powiatach, poczem rozpoczęto głosowanie na posłów. Wybrani zostali:

1) Władysław Grabski, wł. dóbr, dyplomowany w Paryżu na wydziale nauk politycznych, wydziału historycznego w Sorbonie i agronomicznego w Halli, założyciel spółek włościańskich, inicyator stacyi rolniczej w Kutnie i Tow. melioracyjnego w Warszawie, autor prac i artykułów specyalnych zamieszczanych w „Bibliotece warsz.“ i „Gaz. rolniczej“; lat 30; głosów dostał 95.

2) Maryan Kiniorski, 194 głosów, wł. dóbr, ukończył Akad. roln. w Dublanach, następnie szkołę nauk politycznych w Paryżu, redagował 4 lata „Ekonomistę“, ogłaszał prace w „Gazecie rolniczej“; lat 38.

3) 87-ma głosami ks. Jan Gralewski, kapłan patryota, zasłużony w zakresie hygieny i pedagogii, rektor kościoła po-pijarskiego, płomienny kaznodzieja, prefekt i katecheta gimnazyum realnego i kilku pensyj żeńskich, organizator „Ogrodów dziecięcych Raua“, wreszcie zasłużony działacz Tow. Dobroczynności, gdy prześladowany i podejrzewany przez rząd, bywał z tamtych posterunków usuwany, wreszcie jeden z założycieli „Macierzy szkolnej“, skazywany na kary i wygnanie i do chwili wyboru jeszcze stojący pod ręką egzekutywy administracyjnych wyroków; lat 38.

4) Gł. 86. Jan Zegleniczny, z zawodu cukrownik-chemik, dyrektor cukrowni, b. współredaktor „Gazety cukrowniczej“, autor prac wielu i współpracownik „Encyklopedyi rolniczej“ i Wielkiej Encyklopedyi; lat 40.

5) Gł. 75. Włościanin Paweł Wasilewski, właściciel gospodarstwa 14 morgowego w Turzy, pow. radzymińskim, ożeniony z uświadomioną dzielną włościanką Balbiną Gochną z pow. mińskiego, ojciec 5 ga dzieci. Włościański ten poseł zawdzięcza swoje narodowe uświadomienie, nauce i wychowaniu powstańca z 1863 r. śp. Karola Litwickiego, stolarza. On to zaszczepił w chłopcu miłość ojczyzny i pojęcie jego potrzeb. Wasilewski pisywał artykuły do „Gazety świątecznej“, a obecnie do „Narodu“ pod pseudonimem „Stuża“.

Po ukończeniu wyborów dokonał zakład fotograf. I. Mieczkowskiego zdjęcia wielkiej grupy posłów wraz z wyborcami, którą tu zamieszczamy w reprodukcyi.

W pierwszym rzędzie zajęli miejsca nowo wybrani posłowie, a więc ks. Gralewski, od niego na lewo (patrząc od widza) włośc. Wasilewski (w czamarze) dalej Kiniorski i Grabski, po prawej Zegleniczny, a dalej o dwa miejsca Krzymuski, prezes dyrekcyi Tow. Kred. Ziemskiego i przewodniczący wyborom. *B-t.*

Włościanie sokalscy.

Przed kilku dniami na ulicach Krakowa zwracały na siebie uwagę liczne grupki wycieczki z Sokala. Byli to przeważnie włościanie z całego powiatu w liczbie blisko dwustu, którzy zwiedzali miasto i jego pamiątki podzieleni na kilka grup, a oprowadzani przez krakowskich akademików z kółka Asnykowskiego T. S. L., panów Gniazdowskiego, Golachowskiego Tarkę, Podgórskiego i Zawadzkiego. Na czele wycieczki, której część uczestników zdjęliśmy w grupie na stokach Wawelu, gdy w niedzielę rano szli do katedry i na Zamek, stali: nauczyciel ludowy Jan Gruszewski, znany działacz i pionier oświaty we wschodniej Galicyi, oraz ks. Figura, katecheta. Inicyatorem tak pożytecznej podróży dla zwiedzenia Krakowa był ks. Alojzy Wodzyński. Wśród uczestników wycieczki tej z pod Sokala i Bełza zauważyliśmy wielu włościan w ruskich świtkach: mimo bowiem, że są Polakami i należą do kościoła rzymsko katolickiego, przyjęli już, mieszkając na kresach wschodnich, strój etnograficzny ruski; ten sam objaw można spostrzedz i u kobiet. Wszyscy mieli na piersiach przypięte kokardki biało-czerwone. Z Krakowa wyjechali na pielgrzymkę do Kalwaryi.

Nareszcie polskie mapy.

Mieliśmy wiecznie w użyciu mapy przeważnie niemieckie. Aż oto inżynier Kornman z Jarosławia wydał nareszcie pierwszą polską mapę komunikacyjną Galicyi i Bukowiny, która odznaczała się wszystkiemi zaletami, jakich od podobnego wydawnictwa żądać należy. Wyczerpanie pierwszego nakładu tego wydawnictwa oraz rozwój dróg komunikacyjnych skłoniły autora do ponownego wydania nakładem Altenberga we Lwowie, zwłaszcza dzięki przychylnemu przyjęciu u publiczności i całej prasy. Nowe wydanie nie różni się prawie od pierwszego co do dokładności i przejrzystości, jest tylko uzupełnione zmianami, jakie zaszły w ostatnim czasie. Powiaty są kolorowane, a gęsta siatka łatwo odróżniających się linijek oznacza koleje, drogi bite i wodne. Niewątpliwie drugie wydanie mapy komunikacyjnej Galicyi, rozejdzie się jeszcze prędzej od pierwszego, tak bardzo bowiem na to zasługuje, jako pożądany nabytek dla wszystkich.



Duma przeciw rządowi: Domniemany przyszły minister oświaty, konserwatywny poseł hr. Heyden z Pskowa, który w Dumie w świetnych mowach rząd krytykuje.

Jednocześnie pojawiły się własnym nakładem tego samego autora: plan Jarosławia i mapa powiatu jarosławskiego, wykonane, jak poprzednia mapa, w słynnym zakładzie kartograficznym G. Freytaga w Wiedniu.

Autor tych mapek jest inżynierem cywilnym w Jarosławiu i niewątpliwie w wykonaniu swych



Fot. dla „Nowości Illustrowanych“ J. Mieczkowski w Warszawie.

Opóźnione wybory z gubernii warszawskiej: Grupa pięciu nowych posłów do Dumy z gubernii warszawskiej, w otoczeniu ich wyborców z powiatów, zdjęta po akcie wyborczym 11-go maja.

czynności inżynierskich, musiał natknąć się na trudności spowodowane brakiem dobrego planu miasta i mapy powiatu. Przypuszczamy, że trudności te i własne doświadczenia o pożyteczności i potrzebie takich mapek spowodowały autora do podjęcia się kosztownego wydawnictwa. Plan i mapka pod względem wykonania nie ustępują niczem mapie komunikacyjnej, o której poprzednio mówiliśmy. Wykonanie jest bardzo piękne, a szczególniej wyrazistość mapy i łatwość oryentacyi są zaletą map inż. Kornmana.

Plan Jarosławia w skali 1: 14000 jest to dokładny plan oryentacyjny ze wszystkiemi ulicami



Duma przeciw rządowi: Poseł Winawer z Petersburga, który jako żyd, stając w Dumie w obronie pokrzywdzonych współwyznawców, domaga się równouprawnienia wszystkich obywateli.

i dzielnicami miasta, prócz tego zawiera wszelkie budynki publiczne, urzędy itp. odrębnie oznaczone, nadto obok mapy podano daty statystyczne.

Plan powiatu w skali 1: 300.000 zawiera szczegółowo wszystkie gminy (miasta, wsie, przysiółki), okręgi sądowe, drogi, rzeki i potoki, zaś obok tabelki statystyczne. Umieszczona na mapce skala ułatwia odczytywanie odległości.

Mapka powiatu jarosławskiego jest nowością i z pewnością odda wielkie usługi władzom, urzędom itd. Życzyćby sobie należało, żeby autor nie ograniczył się do jednego powiatu, lecz rozszerzył swe wydawnictwo i na inne powiaty, a nie wątpimy, że mapy takie, jako rzecz dobra i pożyteczna, rozpowszechnią się w kraju.

Smierć zdrajcy.

Pisaliśmy już obszernie o tajemniczej a tragicznej śmierci byłego popa Jerzego Gapona, który rozsławił swoje imię przed kilkunastu miesiącami, w pamiętny dzień 22 stycznia wiodąc lud rosyjski do pałacu Zimowego w Petersburgu.

Okazało się rychło, że ów przywódca robotników nadnewskich stał się ohydnym szpiegiem bojowników wolności, to też rewolucyoniści rosyjscy ukarali go okrutnie, jako zdrajcę.

Tyle jednak jednocześnie krążyło rozmaitych pogłosek sprzecznych, w czasie, gdy się wieść rozbiegła o znalezieniu trupa powieszonego Gapona, że wreszcie nikt nie był pewnym, czy zginął on w istocie, czy też nie puszczono bajki rozmyślnej na ten temat, jak się to już poprzednio kilkakrotnie zdarzało wtedy, gdy świat wyobrażał sobie, że błędne pogłoski o Gaponie szerzą sami rewolucyoniści dla mylenia pościgu policyi za potężnym, jak się zdawało, trybunem ludu.

Właśnie w tych dniach pani Uzdajewowa w liście do redakcyi „XX Wieku“ w Petersburgu skarżyła się na tych, którzy w dalszym ciągu piszą i głoszą dla sensacyi, jakoby mąż jej cywilny, były ojciec Gapon, pozostawał dotychczas przy życiu.

W trupie, wykrytym w Ozierkach pod Petersburgiem, poznała ona sama Gapona, była następnie na jego pogrzebie, wszelkie przeto wątpliwości pod tym względem nie mają podstawy.

Jednocześnie „Die Zeit“ wiedeńska doniosła z Petersburga, że nareszcie udało się wykryć i tego, który wynajął owe mieszkanie w willi w Ozierkach nieopodal stolicy, gdzie znaleziono zwłoki powieszonego Gapona. Był nim inżynier Ruttenberg, znany członek organizacyi terrorystycznej. Tego to Ruttenberga usiłował Gapon nakłonić, aby za jego przykładem wstąpił do służby policyjnej.

Jest już tedy rzeczą stwierdzoną, że Gapon nie żyje i że to jego trupa znaleziono niedawno w willi w Ozierkach.

Domek ten pod Petersburgiem widzą właśnie Czytelnicy na załączonej rycinie, podobnie, jak sfotografowane na miejscu zwłoki powieszonego Gapona, jak je tam w Ozierkach znaleziono.

Duma przeciw rządowi.

Pamiętne pozostanie historyczne posiedzenie młodej Dumy rosyjskiej, na którem przedstawiciele narodów, Rosyę zamieszkujących, zażądali w sposób stanowczy ustąpienia obecnego rządu. W czasie dyskusyi nad deklaracyą rządową, jaką złożył prezydent gabinetu Goremykin z powodu adresu Dumy odpowiadającej na mowę tronową, wygłoszono szereg świetnych mów. Kilku posłów, którzy tam wtedy przemawiali, sportretowaliśmy już poprzednio. Dziś dajemy jeszcze kilka fotografij wybitnych mówców: Szczepkina z Odessy, który czynił zarzuty rządowi, że nie szanuje ustaw zasadniczych; Winawera, który żądał równouprawnienia wszystkich obywateli, sam jako żyd, stając w obronie pozbawionych praw współwyznawców; a wreszcie konserwatysty hr. Heydena, domniemanego przyszłego ministra oświaty, który



Nareszcie polskie mapy: Inżynier S. Kornman z Jarosławia, twórca znakomitych map komunikacyjnych Galicyi i planów Jarosławia.

oświadczył, że liczył na pokojową pracę Dumy, lecz program rządu zniszczył wszystkie jego nadzieje.

* * *

O nastroju, jaki panował podczas sobotniego posiedzenia Dumy, pisze petersburski korespondent:

Po godzinie drugiej prezes Dumy wśród ciszy ogólnej otwiera posiedzenie. Z ust jego padają słowa: „Prezes rady ministrów pragnie być wysłuchany przez Dumę państwową“.

Goremykin, średniego wzrostu, podstarzały, ale trzymający się dobrze, dystyngowany mężczyzna, postać typowego, wyższego biurokraty o szybkiej karyerze, powoli wstaje ze swego miejsca, bierze z sobą szaro-niebieską teczkę i powoli kie-



Umyślne zdjęcie dla „Nowości Illustrowanych; aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.

Włościanie sokalscy: Na stokach Wawelu grupa uczestników licznej wycieczki do Krakowa i Kalwaryi włościan z powiatu sokalskiego i mieszczan z Sokala, Bełza, Warężа i Krystynopola.

ruje się do trybuny. Cisza absolutna. Prezes ministrów kładzie przed sobą teczkę, wyjmuje i wkłada binokle i rozpoczyna czytanie deklaracyi. Czyta spokojnie, wolno, zwłaszcza tam, gdzie mówi o zamiarach rządu. Wzmianki o silnej władzy czyta głosem przekonywającym i stanowczym. Chwilami ożywia się, niektóre ustępy wygłasza na pamięć. Patrzy w stronę loży ministrów i prawicy; lewica nie istnieje dla naczelnika rządu rosyjskiego. Takiej ciszy, jaka panowała w sali pod-



Inne czasy w Petersburgu: Rosyjski minister spraw wewnętrznych, Stołypin.

czas mowy prezesa ministrów, nie słyszałem nigdy w życiu. Była to cisza przed burzą. Padają twarde, ostre słowa... Minister skończył... Cisza trwa jeszcze sekundę. Ani jednego oklasku. Prezes ministrów schodzi powoli, stroi twarz w wyraz obojętny i rozmawia półgłosem w loży z sąsiadem, bar. Fryderyksem.

Rozdają drukowany tekst deklaracyi rządowej. Pauzy nie ogłoszono, więc wszyscy zostają na swoich miejscach; sala zaczyna wrzeć gwarem rozmów. Po trzech minutach rozlega się dzwonek. Na trybunie ukazuje się Nabakow, jeden z przywódców konstytucyjnych demokratów, „ministrable“ w razie, gdyby władza przeszła w ich ręce. Mowa spokojna, nie działa na uczucie, ale mocna. Pierwszy grzmot oklasków rozlega się, kiedy z trybuny padają słowa: „W sprawie amnestyi nie uznajemy żadnych pośredników między sobą a władzą Najwyższą i odrzucamy ich.“ Nowe oklaski po końcu przemówienia. Prezes ministrów kręci się na fotelu; wyraz twarzy ma poważny. Bar. Fryderyks nie spuszcza oczu z trybuny. Inni ministrowie zachowują się obojętnie.

* * *

Pełna wysokiego polotu, patetyczna mowa Rodiczewa robi wrażenie olbrzymie; przerywają ją ciągłe oklaski. Mowa Aładina jest niezmiernie gwałtowna w tonie i treści. „Sądzę — woła — że nikt nie będzie innego zdania, niż ja, kiedy powiem, że między rewolucyą w kraju a rządem stoimy tylko my.“ Przerywają mu z prawicy, inni krzyczą: „Prosimy! prosimy dalej!“ W loży ministrów panuje lekceważenie; rozmawiają między sobą. Tylko bar. Fryderyks ciągle nie spuszcza oczu z trybuny. Z tego olimpijskiego spokoju wyrwał dygnitarzy: robotnik Michalczenko, socyal-rewolucyonista z Uralu, któremu bardzo radykalne zwroty przerywała Duma okrzykami: „Dosyć! dosyć“.

* * *

Z posłów polskich przemawiał w sobotę jedynie Lednicki, prezes klubu autonomistów. Z mowy jego przytoczyć należy zwrot następujący:

„My wszyscy, zgromadzeni tutaj, jesteśmy synami swojej ojczyzny i zarazem synami Rosyi. W deklaracyi rządu nie powiedziano ani słowa o prawach oddzielnych narodowości, o prawach tych, którzy zawarli związek z wybrańcami narodu rosyjskiego i idąc ręka w rękę z nimi, mają nadzieję dojść do lepszej przyszłości. Poczytuję sobie za obowiązek sumienia oświadczyć, że przedstawiciele wszystkich narodowości zjednoczyli się z narodem rosyjskim, ażeby umocnić połączonemi usiłowaniami tę sprawę ogólną, której wszyscy służymy. Wszyscy mieliśmy nadzieję, że komunikat rządowy dowiedzie nam, iż rząd poprze tę sprawę, dopomoże nam do rozstrzygnięcia palących spraw życia narodowego. Omyliliśmy się srodze. Rozkaz samowładny — oto co daje nam rząd. Jestem zupełnie stropiony wszystkiem, co się tu dziś dzieje. Zwracam się po raz ostatni z wezwaniem: Niechaj opamiętają się ci, którzy rozdmuchują żarzące się węgle. Wszakże cała odpowiedzialność za pożar grożący zaciąży na nich. Wówczas, być może, i my nie będziemy już może zdolni go ugasić. Przyszliśmy tutaj, ażeby powstrzymać ruch



Śmierć zdrajcy: Willa w Ozierkach pod Petersburgiem, gdzie powiesili rewolucyoniści rosyjscy skazanego przez nich na śmierć za zdradę ludu i sprawy wolności, byłego popa Jerzego Gapona.

żywiołu i obecnie, napotykając przeciwdziałanie, oświadczam, że żywioł szaleje coraz silniej, że rozszalawszy się, może on zetrzeć z powierzchni ziemi i nas i to, co drogie jest każdemu uczciwemu człowiekowi. Jednocześnie obstajemy przytem,



Śmierć zdrajcy: Tak znaleziono w Ozierkach pod Petersburgiem zwłoki powieszonego przez rewolucyonistów expopa Gapona.

ażeby na tych miejscach (wskazuje na ławę ministrów) siedzieli ci, którzy siedzą tutaj z nami“. (Gestem wskazuje amfiteatr).

* * *

Z Koła polskiego nikt głosu nie zabierał.

Po przepysznej mowie Kowalewskiego, którą przyjęto burzą oklasków, na trybunę wszedł zwyczajny chłop rosyjski (mużyk) Łosiew i w prostych słowach przedewszystkiem zaznaczył, że dotychczas miał jeszcze nadzieję, dziś ją już stracił zupełnie... „Ministerstwo, pod którego ciężką rękę dostaliśmy się, mocno mnie zmartwiło“. Następnie Łosiew porównał nieszczęśliwy lud rosyjski do Samsona. Jak niegdyś Samsona oszukańczo oślepili Filistyni, tak obecnie biurokracya oślepia naród i bawi się nim, jak niegdyś Filistynowie Samsonem. Gdy Samson nie był już w stanie cierpieć dłużej, prosił przewodnika, aby go zaprowadził pod słupy świątyni. Wtedy to postanowił Samson: „Ja zginę, ale niechaj zginą razem ze mną podli Filistyni“. Podparł dwa słupy rękoma i zburzył całą świątynię. Włościanie również są przedmiotem zabawy. Strzeżcie się, aby nie nadeszła chwila, gdy włościanie zawołają: „My zginiemy, ale niechaj giną i inni“...

Mowa ta, przyjęta burzą oklasków, wywarła olbrzymie wrażenie nawet wśród obecnych na galeryach członków Rady państwa i senatorów. Ministrów już wtedy na sali nie było.

Z półek księgarskich.

„Garderoba dla dzieci“, czasopismo poświęcone kwestyom toaletowym naszych milusińskich, wychodzi we Lwowie nakładem lwowskiej firmy wydawniczej Landaua, ul. Czarneckiego 3. Numer na czerwiec uderza przedewszystkiem wielkiem bogactwem illustracyi wprost artystycznie wykonanych, a zawiera nadto osobne wzory kroju i dodatek literacki dla dzieci. Kwartalnie 1 K. 20 h.

Kącik humorystyczny.

Gość w restauracyi męczy się długo nad porcyą befsztyka. Aż się spocił, tak pracuje z pomocą widelca i noża.... Wreszcie kiedy zaczął obawiać się o wprawione niedawno, a jeszcze nawet niezapłacone zęby, przywołuje kelnera:

— Mój przyjacielu, powiedzno swojemu gospodarzowi, że teraz właśnie przemyśliwają przemysłowcy nad tem, czemby dało się zastąpić w tani, a łatwy sposób kauczuk ... Otóż podsuń mu myśl, żeby zaproponował swoje befsztyki....

A na to mu kelner, który widocznie miał za mało inteligencyi, by gościa zrozumieć:

— Pan dobrodziej myli się, ten befsztyk nie jest z kauczuku, tylko z konia ..

Maurycy Sieber.

Niegdyś każdego, kto tylko oddawał się sztuce i zdobył się na jakie takie w tej dziedzinie zasługi, zaliczano do jej kapłanów bez względu na to, z jakiego proceder u zaspakajał potrzeby marnego ciała, a termin „amator“, „dyletant“ był słowem nieznanem, wszyscy byli artyści, ten mniejszy, ów większy. Dziś, gdy walka o byt wytworzyła kasty, działy, kategorye, zawody itp., szczytne miano artysty w swoim zawodzie przysługuje niejednemu partaczowi, ale też na odwrót, niejeden prawdziwy artysta jest tylko... dyletantem.

Dyletantów znamy różnej kategoryi wielu, każdy z nich służy swej sztuce jak może, z całych sił, szerząc wśród profanów kult dla niej i pełne szacunku zamiłowanie.

W ich szeregu p. Maurycy Sieber zajmuje poważne miejsce. Stary to weteran (ur. we Lwowie 5 listopada 1846) osiwiały w pracy muzycznej a na barkach swych niosący niejedno odznaczenie za tę pracę, nie jeden oklask dłoni, umiejącego ocenić trud i pracę słuchacza. Gdyby p. Sieber nie był poza studyami muzycznemi, które odbywał u Guniewicza i Mikulego, zajmował się nauką, byłby dziś może i jednym z kapłanów boskiej sztuki tonów, lecz jego czasy sielskie i anielskie przypadły na takie czasy, w których kapłanem sztuki mógł zostać tylko ten, który z braku na studya, nie mógł nie piastować jakiego urzędu. Chociaż więc jako 23-letni młodzian pisywać począł sprawozdania muzyczne w pismach lwowskich, grał foremnie na instrumencie i komponował, to jednak swe służby życiowe poświęcił innemu zawodowi, zawodowi pocztowemu. Od lat 35 mieszka p. Sieber w Krakowie, pracując z pożytkiem dla kultury muzycznej tam, gdzie potrzebną była praca pioniera, niewahającego się iść w największe trudy, w największe gąszcze, by utorować drogę świetnemu rydwanowi sztuki. Ile urządził odczytów z dziedziny muzyki, ile wieczorów muzycznych jemu zawdzięcza świetny sukces, trudnem byłoby do wyliczenia. Kompozycyj (przeważnie niewydanych) liczy w swym dorobku kompozytorskim kilkadziesiąt. Są w tem i kwartety i chóry i pieśni i różne arangements i wiele prac okolicznościowych, jak zbiory pieśni patryotycznych, potpouri z pieśni narodowych itd. Dziś nie czas jeszcze wyliczać szczegółowo tytułów prac tych, boć mimo chwilowej żałoby rodzinnej p. Sieber pracuje i pracować nadal będzie, w gronie swych kolegów, przyjaciół i życzliwych, a sił i wytrwałości do dalszej pracy z serca mu życzymy.



Maurycy Sieber.

„Mateczka“.

Powieść współczesna na tle zdarzeń prawdziwych.
Napisał Bronisław Mazowiecki.

8 (Ciąg dalszy).

Minęło jeszcze dni kilka, zanim zdążono zabrać z Płocka do Prus Królewskich obłąkanego księdza Jana.

Właśnie w przeddzień wyjazdu nieopodal katedry przechodził pan Edward w towarzystwie spotkanego przypadkiem dalekiego kuzyna, gdy natrafili na zbiegowisko uliczne.

Pod murem stał z odkrytą głową ksiądz Jan i gestykulując żywo wychudzonemi rękoma, wygłaszał kazanie, któremu przysłuchiwał się naigrawający się z waryata tłum gawiedzi.

Biedny obłąkaniec starał się wmówić w ludzi, że jest prorokiem i ciskał pioruny na duchowieństwo katolickie i na biskupów. A kiedy śmiano się z niego, począł z rozpaczy szarpać wszystko na sobie, aż goła pierś koścista zaświeciła z pod strzępów sutanny...

Znano już w mieście chorego, dawno od czynności kościelnych usuniętego kapłana; przyzwyczajono się do tego, że nieraz prawił ludziom, przystanąwszy na ulicy, niestworzone rzeczy. Ale zdarzyło się dopiero pierwszy raz, iż waryat w sposób tak ostry napadał na kościół katolicki.

To też parę osób z inteligencyi, które stały się mimowolnymi świadkami jego dzisiejszego kazania, zaczęło wyrażać głośno swoje oburzenie z powodu usłyszanych bluźnierstw.

Z okna pierwszego piętra wysłuchał uważnie całego kazania jeden z kanoników katedralnych, stary ksiądz otyły, któremu tak krew do głowy uderzała pod wpływem słów „proroka Jana“, że jego służący przestraszony nie pozwolił mu pozostać do końca w oknie, obawiając się ataku apoplektycznego.

Kiedy kanonikowi zrobiło się nieco lepiej i uspokojony po pierwszem wzburzeniu, powtarzał tylko sam do siebie:

— A to nowy Marcin Luter... ba, niebezpieczniejszy od niego nawet...

Kazał się służącemu zaprowadzić do księdza biskupa.

Tam przedstawiwszy niebezpieczeństwo trzymania na stopie wolnej tak szkodliwego maniaka religijnego, wyjednał kanonik pozwolenie na natychmiastowe odesłanie chorego księdza do zakładu obłąkanych w Tworkach.

W godzinę później zjawił się jeden z młodych a bardzo energicznych księży, na rozkaz samego biskupa u gospodyni, która odnajmowała mieszkanie „prorokowi Janowi“. Interwencya jego okazała się jednak już niepotrzebną, ponieważ odebrał solenne zapewnienie, że nazajutrz wczesnym rankiem opuszcza maniak nietylko stolicę płocką i dyecezyą, ale nawet granice Królestwa.

Jego samego nie zastał wysłannik biskupi w domu, chory bowiem wiedząc, że go z Płocka zabierają, postanowił wykorzystać jeszcze ostatnie chwile i przenosił się po mieście z ulicy na ulicę, żeby głosić coraz to przed nowymi słuchaczami płomienne kazania.

Podniecenie jego wzmagało się z godziny na godzinę. Wreszcie słuchacze jego zaczęli uciekać w popłochu, kiedy na ich głowy z ust waryata sypały się gradem straszne proroctwa, malujące przyszłość świata w najpotworniejszych obrazach.

Jan głosił, że jest ojcem Antychrysta, który zgładzi obecny porządek świata i srodze karać będzie ludzkość za ciężkie grzechy, jakich nie widzą duszpasterze rzymskiej owczarni.

Pod koniec jednego z takich najostrzejszych już kazań, uwiadomiona o ich treści, zjawiła się w tłumie gawiedzi siostra Felicya. Przecisnęła się z trudem w środek zbiegowiska i stanęła przed Janem tak, że ten mimowoli musiał dostrzedz ją zaraz.

Zaledwie spotkały się ich oczy, gromy z ust ciskający prorok przerwał, nie dokończywszy zdania i zamilkł. Wtedy ona zmierzyła go surowem spojrzeniem.

Zerwał się Jan z pod muru i rękami trzepocąc w powietrzu, jak gdyby zraniony, chciał jej umknąć. Ale kiedy ona krok w jego stronę zrobiła, padł zemdlony na chodnik, zdoławszy jęknąć tylko niezbyt zrozumiałym głosem:

— Nie wierzcie jej!...

Tercyarka dorożką odwiozła go nieprzytomnego do jego mieszkania, gdzie wkrótce ocucony, popadł w gorączkę i majaczył przez kilka godzin.

Późnym wieczorem zjawił się u niego pan Edward w towarzystwie siostry Felicyi dla upewnienia się, żali nazajutrz będzie można mimo to wyjechać.

Stanęło na tem, że podróży nie należy odraczać, nagliła zaś zwłaszcza tercyarka.

W istocie następnego dnia rano, zaraz o świcie, czwórka koni pana K. uwiozła z Płocka powozem do S... „proroka Jana“ w towarzystwie dziedzica i siostry Felicyi.

W drodze był chory, przez cały czas jakiś osowiały, ucichł zupełnie, w ciągu długich godzin nie mówił ani słowa, nawet na pytania nie odpowiadał.

Za to na popasach, na każdym postoju długiej podróży jadł stosunkowo bardzo dużo i jak gdyby chciwie nawet — co tembardziej dziwiło Felicyę i Edwarda, ile, że wiedzieli, jak długo człowiek ten głodził się ciągle dobrowolnie.

Wogóle niespodzianką było to prawie potulne zachowanie się w drodze waryata, co do którego tak się obawiał dziedzic, biorąc go, że będzie miał z nim przez cały czas mnóstwo kłopotów.

Dojechali spokojnie do S... Tutaj pan Edward wysiadł z chwilą, gdy powóz zbliżył się do bramy dziedzińca dworskiego, nie żegnając się nawet z drzemiącym właśnie księdzem Janem, a tylko szepnąwszy Felicyi:

— A więc do jutra.

Dwie rywalki.

Poszedł dziedzic pieszo do domu, a powóz odjechał w stronę lasu, uwożąc waryata pod opieką tercyarki na najdalszy folwark, jaki był w dobrach pana K.

Był to ten sam folwark, na którym spędzała wyznaczone jej przez męża-maniaka dni pokuty, żona pana Edwarda. Pozbawiona dzieci swoich, które kochała namiętnie, pozbawiona wszelkiego towarzystwa, ona, która bez ludzi nie pojmowała życia — przebywała tu tygodniami w zupełnej samotności, nie tylko szpiegowana, ale i pilnowana do tego stopnia, że gdyby chciała, ucieczby nie mogła.

Folwark ten stał się dla niej wygnaniem i więzieniem. Pieniędzy mąż jej nie przysyłał: miała tylko gdzie mieszkać i co jeść.

Oprócz dziewki do posług, nie miała w domu nikogo, z kimby mogła pomówić, a wolno jej było rozmawiać tylko ze spowiednikiem, nasyłanym przez męża.

Potajemnie odbierała tylko częste listy od starej klucznicy Tekluni, która poinformowała ją dotychczas o wszystkiem mniej więcej, co się działo we dworze. O wizycie jednak, która ją teraz czekała, nie mogła jej staruszka uprzedzić, gdyż sama nic o niej nie wiedziała.

Kiedy zatem z rezygnacyą siedziała dziś na ganku młoda kobieta, rozmyślając nad tem, co począć, by dzieci odzyskać i uciec w świat z tego więzienia — zaturkotało na mostku i przed folwark zajechał zakurzony i zabłocony po dłuższej podróży powóz dworski, w czwórkę znanych jej siwków zaprzężony.

Jakież było zdziwienie pani Edwardowej, gdy zamiast męża z dziećmi, wysiadła przed gankiem z powozu tercyarka, o której tyle naczytała się w listach poczciwej Tekluni. Nie potrzebowała żadnych objaśnień. Odrazu, na pierwszy rzut oka domyśliła się, że to ona.

Ale co miała znaczyć obecność jakiegoś obcego księdza w powozie. Znała już wielu duchownych z okolicy, z którymi mąż jej utrzymywał bliższe lub dalsze stosunki, wszelako ta ascetyczna postać wydała jej się zupełnie obcą.

Przez długą chwilę ksiądz nie wysiadał, a siostra Felicya coś mu szeptem perswadowała, wreszcie zostawiła go jeszcze w powozie i sama tylko weszła na ganek.

— Niechaj będzie pochwalony Przenajświętszy Sakrament, a pokój tym, którzy go adorują...

Z ganku nie było żadnej odpowiedzi na to dziwnie brzmiące pozdrowienie. A wtedy siostra Felicya przystąpiła od razu do rzeczy, w krótkich słowach wyjaśniając, że przywiozła na folwark umysłowo chorego, który ma tu znaleźć stały przytułek i opiekę.

Dziedziczka w zimnej, ale pełnej godności rozmowie z tercyarką nie traciła ani na chwilę tonu rzeczywistej gospodyni domu, przyjmującej gościa niemiłego i niepożądanego, ale bądź co bądź gościa; gdy tymczasem siostra Felicya zachowywała się zupełnie tak, jak gdyby to ona właśnie przyjechała tutaj w charakterze właścicielki dóbr i wydawała dyspozycye jakiejś zawiadowczyni folwarku.

To też po chwili zaczęło to wyprowadzać już z równowagi zniecierpliwioną dziedziczkę.

— Ależ moja pani — zawołała wreszcie — jeśli idzie o danie przytułku ubogiemu choremu, to chyba stać mnie na to, by mu nie poskąpić dachu nad głową, ciepłego kąta i łyżki strawy... Skądże jednak ja przychodzę do tego, by osobiście opiekować się człowiekiem obłąkanym... Pani zaś wogóle poważasz się dysponować mi w mojem własnym domu, co i jak mam robić. (C. d. n.)

Zagadki do nagrody.

Szarady.

Ułożył K. Chodkiewicz Zbydniów.

I.

Pierwsze-drugie pożądane zawsze dla Rusina
Bo przy każdej sposobności chętnie je wspomina.
Pierwsze-trzecie przy rysunkach zawsze się używa,
Całość — w maju po kościołach wieczorem się śpiewa

II.

Imię męskie tworzy *wspak drugie wspak trzecie*,
Wspak pierwsze w naszych wodach z łatwością znajdziecie.
Pierwsza czwarta dość złego w świecie narobiła.
Niejednego fortuny wkrótce pozbawiła.
Wszystko do rozwiązania drogę już wskazuje
Bo *całość* zakonnika biednego mianuje.

Logogryf.

Ułożył St. Szwabowicz w Żurawnie.

Ze zgłosek: ble, ce, ci, czyk, cyz, duch, dyk, e, el, en, gnum, ha, i, in, in, ka, ki, ki, ki, kir, ko, ko, kor, kos, ku, mia, nar, nar, ne, pi, ra, ran, re, rej, ri, ro, ro, sa, sem, stand, ter, ter, ty, want, wer, zły, ya — ułożyć 17 wyrazów, których wyrazy początkowe, czytane z góry na dół, utworzą imię znakomitego powieściopisarza polskiego, a litery końcowe, czytane z dołu do góry, imię i nazwisko znakomitego, zmarłego przed dwoma laty, malarza polskiego.

Znaczenie wyrazów: 1. Japoński zwyczaj zabijania się przez rozprucie brzucha. 2. Zwolennik systematu filozoficznego Epikura. 3. Jeden z najpiękniejszych kwiatów. 4. Dramaturg francuski, autor „Orlątka“. 5. Plemię murzyńskie w południowej Ameryce. 6. Postać z „Balladyny“ Słowackiego. 7. Tytuł komedyi Molliera, granej niedawno w tłómaczeniu Rydla na scenie krakowskiej. 8. Inaczej bezkrólewie, wyraz powszechnie znany w dawnej Polsce. 9. Inaczej zespół, zwłaszcza w sztuce na scenie. 10. Inaczej środki odurzające. 11. Wielki orzech amerykański, u nas także sprzedawany. 12. Gatunek drobiu, wielki ptak, u nas hodowany. 13. Pseudonim Asnyka. 14. Bohater słynnego romansu Goethego pt.: „Cierpienia młodego Wertera“. 15. Wielka wyżyna w Azyi. 16. Inaczej przewodnik, nazwa przywieziona do nas z Włoch. 17. Inaczej czart (dwa wyrazy).

Zagadka.

Kółka i gwiazki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane z góry na dół, utworzyły nazwiska trzech ludzi, stanowiących prezydyum jednego z parlamentów europejskich.

○	×	○	○	×	○	○	×	○
○	×	○	○	×	○	○	×	○
○	×	○	○	×	○	○	×	○
○	×	○	○	×	○	○	×	○
○	×	○	○	×	○	○	×	○
○	×	○	○	×	○	○	×	○
○	×	○	○	×	○	○	×	○
○	×	○	○	×	○	○	×	○
○	×	○	○	×	○	○	×	○

Znaczenie wyrazów: 1. Napis na kopercie listowej z podaniem imienia, nazwiska i miejsca zamieszkania człowieka, dla którego list jest przeznaczony — oraz przyrząd do ważenia. 2. Przyrząd do mierzenia wody. 3. Gaz, który wypełnia wszechświat — oraz nazwisko jednego z wybitnych polityków węgierskich. 4. Koń rozpłodowy, oraz najpotężniejsza władczyni na świecie, dzierżąca berło strojów. 5. Pieniądz, płacony jako podatek od głowy, od pogłównego. 6. Okręt, na którym ocalał Noe, oraz wynalazca telegrafu. 7. Ptaki zwiastujące śmierć lub nieszczęście. 8. Papiery. wartościowe — oraz najważniejsza karta przy grze w preferansa. 9. Nazwa długości, wynoszącej 7 i pół kilometra — oraz przyrząd gospodarski do podnoszenia snopów.

Dla ułatwienia rozwiązania podajemy obok zgłoski, z których powyższe wyrazy utworzyć należy: a, a, ak, ar, cye, da, dły, do, dres, e, ga, gier, gło, gron, ka, ki, la, mi, mierz, mo, mor, o, po, pu, se, sze, szczy, ter, tut, u, wa, wi, wień, wo.

Zagadka trójkątowa.

Ułożyła H. Mokrzycka w Turbii.

■											
·	■										
·	·	■									
·	·	·	■								
·	·	·	·	■							
·	·	·	·	·	■						
·	·	·	·	·	·	■					
·	·	·	·	·	·	·	■				
·	·	·	·	·	·	·	·	■			
·	·	·	·	·	·	·	·	·	■		
·	·	·	·	·	·	·	·	·	·	■	
■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■

Kropki i kwadraty zastąpić literami w ten sposób, aby kwadraty, czytane z góry na dół i w poziomym kierunku, dały nazwisko znakomitego malarza polskiego.

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Zaimek osobisty. 3. Jeden z największych dopływów Wisły. 4. Większe zabudowania gospodarskie, stanowiące własność dziedzica na wsi. 5. Ryba morska, u nas w poście często spożywana. 6. Owady, dokuczające ludziom w bagnistych parkach i na łąkach w lecie. 7. Miasto na Śląsku pruskim. 9. Słynna powieściopisarka polska, autorka dramatu „Tamten“. 9. Miejscowość pod Gorlicami, w której mieszkał Wincenty Pol. 10. Znakomity wódz i polityk w starożytnej Grecyi. 11. Mieszkaniec Macedonii. 12. Nazwisko znakomitego portrecisty polskiego.

Łamigłówka.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

Z następujących liter:

			1.	2.	3.			
			a,	e,	m,			
			a,	e,	n,			
1.	o,	o,	a,	e,	n,	o,	r,	1.
2.	r,	r,	a,	g,	n,	r,	s,	2.
3.	s,	w,	c,	g,	n,	y,	y,	3.
			c,	m,	n,			
			e,	m,	o,			
			1.	2.	3.			

ułożyć trzy wyrazy, w tymsamym porządku, jak po dane są litery, o znaczeniu następującem:

1/1 imię męskie.
2/2 miasto we Włoszech.
3/3 Inaczej rolnik, zwłaszcza rolnik, który odbył studya rolnicze.

Kryptogryf.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

Kwadraty i kółka zastąpić literami w ten sposób, aby kwadraty, czytane z góry na dół, utworzyły nazwisko znakomitego poety niemieckiego i tytuł jednego z jego najwspanialszych dramatów.

■	○	○	○	○	■
■	○	○	○	○	■
■	○	○	○	○	■
■	○	○	○	○	■
■	○	○	○	○	■
■	○	○	○	○	■

Znaczenie wyrazów: 1. Inaczej muzy. 2. Miasto na Wołyniu. 3. Samogłoska i imię męskie, od tej samej samogłoski się zaczynające. 4. Miasto we wschodnich Włoszech. 5. Dygnitarz wojskowy w dawnej Polsce. 6. Jedna z największych rzek w Azyi, łącząca się z Tygrysem.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza redakcya jako nagrodę **wspaniały tort biszkoptowy** z cukierni lwowskiej J. Michalika w Krakowie.

Rozwiązanie zagadek z Nru 20.

Szarady.

I. Humorysta.
II. Morele.

Arytmogryf.

Krynica, Chile, ten, gawot, helikon, Irade, udo, Środa, szampan, pliszsa, Teokryt, kapitel.

Niewiadomski.

Kryptogryf.

Zakliczyn, Melpomena, Ollendorf, georginia, Adam-Karol, Samojedzi.

Zmogas — Na fali.

Kryptogram.

M, sęp, Žižka, bractwo, Mężczyzna, krzywda, Józio, Inn, a.

Mężczyzna.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: K. Fuchs Peczeniżyn, I. Pompianka Kraków, J. Aleksandrowicz Kraków, J. Sulkowski Krakoów, K. Bobek Kraków, A. Surowiecki Kraków, Z. Szymczakowska Kraków, M. Cichewski Kraków, L. Rączkowski Kraków, M. Weimerowa Nowy Sącz, J. Wodziczkówna Germakówk, A. St. Bassara Niwiska, J. Lipińska Kraków, E. Mroziński Mosty wielkie, M. Bossowsko Bistoszowa, Fr. Niepokój Krosno, Tow. „Zgoda“ Krosno, E. Bogdalska Koropuż, Dra J. Kasparek Lwów, T. Domain Sanok, W. Stanula Samocice, A. Pukalski Andrychów, K. Jasiński Kraków. Fr. Kosmider Nowy Sącz, J. F. Flura Uhnów, H Mokrzycka Turbia, H. Plechawska Stanisławów, K. Chodkiewicz Zbydniów, M. Rożański Gorlice.

Nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek otrzymał p. **L. Rączkowski w Krakowie.** Prosimy o nadesłanie 72 halerzy na koszta przesyłki.

Kącik humorystyczny.

Jeden z kandydatów na posła do Dumy przymierza u krawca świeżo zamówiony garnitur.

— Ależ panie Igiełkiewicz, to chyba nie na mnie ten surdut... Cóżeś pan zrobił... Przecież on stanowczo za szeroki...

— Zdaje się tylko panu dobrodziejowi, przeciwnie, bardzo odpowiednio leży na panu radcy... Zresztą niech pan dobrodziej nie zapomina, że w tym garniturze właśnie ma pan reprezentować w Dumie całą gubernię.

*

— A zatem, kochany przyjacielu, gdyby nie brak jednego głosu, byłbyś został wybrany posłem... Jeden głos, a to przecież pasye biorą! Gdybym był tak trochę wcześniej wiedział, byłbym przyszedł na wybory dać ci swój głos... Co za szkoda...

*

Jaś wygląda oknem na ulicę, czyni różne spostrzeżenia dziecięce, wreszcie zrywa się z krzesła i do drugiego pokoju biegnie do ojca.

— Tatko, słuchaj, wie tatuś, czem ja chcę być, jak tylko dorosnę...

— No, czemże, dziecko?

— Policyantem na koniu.

— A to dlaczego. Jasiu?

— Bo proszę taty, taki pan nic nie robi cały dzień, tylko siedzi sobie na koniu i rozgląda się, a jak już koniowi stać za długo, to ujedzie z nim parę kroków dalej i znowu siedzi na nim i rozgląda się...

*

Przed werandą jednej z cukierń w Warszawie staje jakiś drab silny i zdrowy, wyciągając rękę. Pierwszy z brzegu gość sięga na jego widok co-prędzej do kieszeni po monetę, ale mimowoli zapytuje:

— A czemże ty jesteś z zawodu?

— Ja proszę pana, z powołania już od roku sumiennie strejkuję.

*

Koledzy zastają przyjaciela Felusia w restauracyi, gdy wstąpili na drugie śniadanie z biura.

— A cóż ty tu robisz tak wcześnie rano?

— Jakto, co robię... obchodzę swoje imieniny.

— Ależ to wczoraj miałeś imieniny...

— To też ja tu od wczoraj jeszcze siedzę i czekam, kiedy mnie kto wykupi.

*

Malarz zrobił portret kapitalisty i kiedy pracę skończył, zaprosił go do swej pracowni. Pan z dużym łańcuchem złotym u kamizelki, ogląda obraz przez długą chwilę to zbliska, to zdaloka, wreszcie odzywa się do mistrza:

— Uważa pan, kochany panie artysto, ja absolutnie nie mogę powiedzieć, żeby portret nie był podobnym, owszem, trafiony jestem, tylko, zdaje mi się, żeś mnie, mój mistrzu, zrobił o jakie czterykroć biedniejszym...

*

Piękna pani przymierza w magazynie mód kapelusze letnie. Wybór jest tak duży, że klientka ma tylko kłopot z tem, w którym fasonie będzie jej lepiej do twarzy.

Wreszcie zwraca się do właścicielki magazynu:

— Te dwa kapelusze podobają mi się jeszcze najbardziej. Wprawdzie w tym niebieskim jest mi o wiele ładniej, ale za to ten czerwony jest znacznie tańszy...

— Kiedy widzi pani, ja właśnie przez pomyłkę poprzemieniałam ceny tych dwóch kapeluszy.

W hotelu.

Gość (do chłopca): Mój kochany, powiedz portyerowi, że dziś w nocy znalazłem w łóżku pluskwę!

Chłopiec: A co właściwie pan dobrodziej chciał znaleźć?...

Podczas egzaminu.

Profesor: I tak widzimy z historyi, że wszelkie stworzenia żyją w ciągłej walce o byt. Wymień mi takie stworzenia?

Uczeń: Śledź i kot.

W szkole.

Profesor (wchodząc do klasy): Czy menażerya już w komplecie?

Prymus: Dopiero teraz, panie profesorze.